

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 9 (1745) 1-7 marca 2024



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

DZIEŃ PO niepokalanym poczęciu



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

♦ Liderzy narodu polskiego ruszyli w świat, żeby nas godnie reprezentować. Prezydent Duda poleciał do Paryża, gdzie zdystansował się od ogłoszonej przez prezydenta Macrona koncepcji, że „niczego nie można wykluczyć”, jeśli chodzi o wysłanie wojsk na Ukrainę. Normalnie czujemy się lekko skrepowani manierami prezydenta Dudy, tym razem jednak jesteśmy mu głęboko wdzięczni za informację, że wśród przywódców europejskich „nie było entuzjazmu” do wywołania trzeciej wojny światowej. Żeby pokryć to dobre wrażenie, Duda pobiegł do jednej z francuskich telewizji i zażądał, żeby „Rosji w ogóle nie było”, a Polska była „chroniona bronią nuklearną”. Prezydent poinformował też Francuzów z dumą, że „jesteśmy jedynym poza Ukrainą krajem, w którym spadły ostatnio rosyjskie rakiety”. O tym, że spadają u nas także rakiety ukraińskie, jak ta w Przewodowie, która zabiła dwie osoby, prezydent taktownie nie wspominał.

♦ Premier Tusk z kolei skoczył do Pragi na spotkanie Grupy Wyszehradzkiej, gdzie w przyjaznej atmosferze obradował z premierem Czech Petrem Fialą, Słowacji – Robertem Fico, oraz Węgier – Viktorom Orbánem. Fiala z właściwym dla Czechów dystansem odnotował różnicę między partnerami. „Czechy, Polska udzielają także pomocy o charakterze militarnym, w czym Słowacja i Węgry nie uczestniczą” – zauważył faktograficznie i dodał, że „różnica panuje też co do tego, co było przyczyną agresji rosyjskiej na Ukrainie i jak powinna być rozwiązana”. Premier Tusk nie ogłosił, że ta różnica zdań to kremlowska prowokacja – zamiast tego pochwalił Grupę Wyszehradzką jako zrodzoną ze „wspólnego oporu przeciwko sowieckiemu imperium”. Tusk posunął się nawet do stwierdzenia, że „pokój jest lepszy niż wojna”, choć szybko dodał, że „o pokój trzeba walczyć”. Jak za czasów „sowieckiego imperium”: walka o pokój będzie długa i krwawa, aż z Ukrainy nie pozostanie kamień na kamieniu.

♦ Minister Sikorski oczarował z kolei Amerykę. W ONZ „zrobił furorę” poprzez „wypunktowanie rosyjskiego ambasadora” – zachwyciły się polskie media. Radek też był z siebie zadowolony: „W Radzie Bezpieczeństwa debacie przysłuchiwały się kraje Globalnego Południa, które być może nie znają naszej historii tak blisko i usłyszenie tego, że jest to wojna kolonialna, od kraju, który sam nie był kolonizatorem, a raczej ofiarą kolonizacji, być może było dla nich przekonujące” – mówił skromnie Tefalenowi. Być może jest to dobry moment, żeby wytłumaczyć szefowi polskiej dyplomacji, że Polska jak najbardziej była kolonizatorem, a główną ofiarą tej kolonizacji padły tereny, które dziś nazywamy Ukrainą. Cała polityka jagiellońska była właśnie kolonizacją ziem na wschód od Rzeczypospolitej – z typowymi dla polityki kolonialnej brutalnym wysiłkiem tubylczej ludności i kosmicznymi fortunami kresowych magnatów. Mielśmy nawet własnych „czarnuchów”; ukraińscy chłopcy nazywani byli wszak „czernią”.

♦ Przez Warszawę przemaszzerowali wkurwieni na Ukrainę i Brukselę rolnicy, a w ślad za nimi grupa posłów PiS pod kierownictwem Mariusza Błaszczaka, która w ramach kontroli poselskiej w ministerstwie rolnictwa postanowiła sprawdzić, czy „minister rzeczywiście podjął rozmowy ze stroną ukraińską”. Minister wykazał się reflekssem i notatki z rozmów utajnił, co nie było takie głupie, jeśli nie chciał ich oglądać w Telewizji Republika – to z kolei mogłoby niekorzystnie wpłynąć na klimat rozmów. Posłowie PiS są zasadnie oburzeni, głównie tym, że w ministerstwie „ludzili ich”, że notatki dadzą, ale nie dali, a także faktem iż wiceminister Krajewski miał ich wyzywać od ruskich agentów. „Ja myślę, że tego nie powiedział, to była nadinterpretacja, nikt tak nie myśli” – odpowiada uspokajająco minister rolnictwa Czesław Siekierski.

♦ W Leżajsku na spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim zorganizowane pod hasłem „Bądźmy razem. Budujmy wspólnie” przyszedł niezwykłyfikowany przez włoskie służby obywatel, który zadał chamskie pytanie: „Osiem lat rządiliście, a gdzie jest wrak ze Smoleńska?”. Prezes zachował zimną krew: „To jest klasyczny przykład tego, że nawet na tej sali są ludzie Putina, bo to jest wielka obrona Putina” – zawyrokował i nawet nie pozwolił pobić prowokatora. Wkrótce okazało się jednak, że niesłusznie, bo lobuz na wpierdół zasłużył. Był to Jacek Mykita, emerytowany major ABW, któremu PiS zabrał emeryturę i który tę emeryturę w sądzie odwojował. „Pytanie o to, gdzie jest wrak tupolewa, jest po prostu pytaniem głupim, niemiłym, niedelikatnym” – skomentował poseł Piotr Kaleta i dodał, że „zadał je kapitan, który funkcjonował przed 1989 rokiem”. Skoro nie udało się zabrać Mykicie emerytury, to PiS go choć zdegraduje w stopniu.

♦ Ruszyła komisja śledcza do sprawy afery wizowej. Zeznawał były asystent byłego wiceministra Wawrzyka Edgar Kobos, który jest gotów sypać, tylko najpierw chciałby dostać status małego świadka koronnego. Kobos czuje się szczególnie dotknięty tym, że Wawrzyk bagatelizował jego zaangażowanie w pracę swojego biura parlamentarnego. „Ciekawe, czy mieszkańcy Kielc, Buska-Zdroju, Sandomierza, Jędrzejowa i dzieśiątek innych miast i wsi w województwie świętokrzyskim naprawdę zapomnieli już o tym, w jak wielu uroczystościach i wydarzeniach uczestniczyłem tam razem z Piotrem Wawrzykiem” – zastanawiał się p. Kobos. Mammy dla niego przykrą wiadomość: owszem. Naprawdę nikt nie pamięta młodzieńców, którzy noszą teczkę za podsekretarzami stanu.

♦ Z kolei komisja ds. Pegasusa życzyłaby sobie przesłuchać Zbigniewa Ziobrę, który wszak kolegą z CBA system ów za-fundował. Jednak Ziobro przez kolegów informuje, że ma raka przełyku i zeznawać nie może, w co nie wszyscy tak do końca wierzą. Dyskusja się toczy na dawnym Twitterze. Wiceszef komisji, poseł Trela z lewicy, domaga się „zaświadczenia lekarskiego wystawionego przez lekarza sądowego”, na co poseł Gosek z PiS odpowiada, że „miał dokumenty medyczne ministra Zbigniewa Ziobry w ręce, konsultował je – wśród wielu konsultacji – wybitny profesor onkologii”. Jakkolwiek poseł jest zawodem zaufania publicznego, obawiamy się, że słowo posła Goska może komisji nie wystarczyć.

Z URNY URBANA

Jak można się było spodziewać, o aborcji i pigułce „dzień po” znów zrobiło się głośno. Z jednej strony konieczność realizacji obietnic wyborczych okraszona próbą wykoncypowania trzeciej drogi przez Trzecią Drogę, z drugiej – wciąż żywe oszołomskie pomysły prawicy i jej nieustanne jęki. Przypominamy, co pisał na ten temat Urban w kwietniu 2016 r., kiedy za wprowadzanie w życie swoich fiksjacji w tej dziedzinie brała się Zjednoczona Prawica.

Brzuchate

Z woli partii sprawującej władzę seks będzie karany niechcianymi dziećmi. Kara obejmie głównie matki i owe bachory. Religijni radykałowie z PiS żądają absolutnego zakazu skrobanek i wsadzania za nie także kobiet usuwających ciążę. Oznaczałoby to przymus rodzenia potomków, oddawania przez matki życia za ciążę, wydawania na świat pamiątek po gwałtach. Represjom tym sprzyjają biskupi. Kaczyński jeszcze nie zdecydował, czy PiS absolutnie zakaze aborcji. Bada układ sił w swojej partii.

Na razie rządowy bigot, minister zdrowia Radziwiłł, zakazał sprzedawania pigułki „dzień po” bez recepty. Obłudnik wie, że do lekarzy są kolejki, zatem żadna dziewczyna naza-jutrz po seksualnym spełnieniu raczej recepty nie zdobędzie.

Zarządzenie księcia Radziwiłła bije głównie w dziewczyny nieletnie, biedne lub niezaradne. Jego skutkiem będzie bowiem znaczny wzrost ceny środka day after. Rozwinie się nielegalny rynek, w tym import i sprzedaż internetowa. W dzisiejszych czasach wyrzucenie czegoś z wolnej sprzedaży w aptekach oznacza wsparcie przez rząd czarnego rynku.

Utrudnienie pozbywania się ciąży paradoksalnie zmniejszy, a nie zwiększy liczbę urodzeń. Kościelne nakazy i zakazy, którym państwo nadaje moc prawa, wielu ludzi odstręczają od Kościoła, osłabiają religijność wyznawców lub ją niszczą. Badania przeprowadzone w 82 krajach wykazały zaś, że ateści mają średnio 1,7 dziecka, rzadko praktykujący 1,8, a osoby bardzo religijne 2,5. Szwajcarskie badania sprzed 15 lat ukazały podobną prawidłowość. W 2006 r. zapytano Niemców obojga pici w wieku 16–29 lat, czy pragną posiadać dzie-

ci. Twierdząco odpowiedziało 61 proc. wierzących i tylko 42 proc. niewierzących (źródło: prof. Bogusław Pawłowski w „Nagim umyśle”).

Współczesne łagodne zabiegi aborcyjne i zapobiegające ciąży pigułki stanowią owoc postępu medycznego. Dr Radziwiłł staje mu na przeszkodzie. Nie wiadomo, gdzie i na ile zakaze korzystania z innych wynalazków. Może zdelegalizuje transfuzje krwi i cofnie leczenie do nakazu jej puszczania pacjentom? Już teraz ten zafobaniec w sensie metaforycznym sprawia, że krew ludzi zalewa. Wyjątkiem są religijni fanatycy.

W ślad za decyzją Radziwiłła jego koleżanka w rządzie władająca szkołami powinna nakazać zrobienie w stolikach uczennic półokrągłego wcięcia na brzuch ciążowy. Większość nastolatek traci dziewictwo dzięki uczęszczaniu do szkoły, a w każdym razie w trakcie scholaryzacji. Przy tym uczennice nie mają pieniędzy, a szkoła czyni z nich gapy. Im więc najtrudniej będzie zdobywać pigułkę albo skorzystać z nielegalnej lub zagranicznej aborcji. Jeżeli będą rodzic, ich szanse życiowe skarla. Skrzywiony też zostanie los ich dzieci. Dotyczy to w równym stopniu kobiet ubogich czy niewykształconych oraz zapitych.

Katolicka władza sprawi więc, że niechciane dzieci licznie rodzić będą matki o marnym statusie społecznym i materialnym, który jest na ogół dziedziczony. Obrońcy życia działają więc na rzecz obniżenia jego jakości. W statystycznej skali macierzyństwo spychają na obecny lub przyszły margines społeczny. Mnożą też nibysieroty wegetujące w rodzinach zastępczych lub sierocińcach albo pod opieką własnych matek skazanych na pomoc społeczną. Fobia religijna Radziwiłła będzie więc obciążać budżety

samorządowe i państwo-wy. Radziwiłł nie odpowiada zaś za dotacje celowe dla samorządów ani za budżet państwa. Ministerstwo Zdrowia nie sporządza więc kalkulacji kosztów wtórnych zabobów dewota, który nim kieruje. Ani nie ocenia szkód farmaceutów wynikłych z rezultatów przesunięcia sprzedaży z aptek do spekulantów. Ani kosztów społecznych jednej niby drobnej decyzji. Rząd skasował natomiast opłacanie procedury in vitro, żeby nie rodziły się dzieci upragnione – te, które nie stanowią kary dla matek.

Lepiej by było, gdyby Radziwiłł gwałcił nieletnie. Wówczas dotykałby realiów życia, a jego ofiary mogłyby otrzymać od księcia wysokie odszkodowanie i alimenty.

PiS chodzi rakiem, stawiając wielkie kroki do tyłu, a też setki zdecentralizowanych drobnych kroczków. Cofając ludność i państwo, partia woła, że idzie do przodu, modernizuje. W rzeczywistości zajmuje się nie przyszłością kraju, tylko przeszłością. Ją to pilnie zmienia i kształtuje wedle własnych upodobań. Zapowiada tworzenie nowoczesnych, konkurencyjnych wobec państw rozwiniętych przedsięwzięć gospodarczych. Faktycznie zaś mnoży pomniki i muzea, wtłacza ludności partyjne pomysły na przeszłość, fałszując ją. Trudno więc sobie wyobrazić, żeby polityka historyczna PiS nie objęła także historii medycyny, nakazując jej jagiellonizację. NFZ opłacać wtedy będzie księżowskie egzorcyzmy, uzdrawianie dusz na stosach, wypędzanie czarami chorób, w onkologii zapewne zarzynanie czarnego koguta na rozstajach dróg. Usunie się też lekarzy ze szpitali, gdyż wystarczą kapelani zastępujący zabiegi medyczne modłami, spowiedziami i namaszczeniem olejem. Rząd pielegnować nakaze kołtuny, fryzjer Magdy Gessler otrzyma więc dotację z Narodowego, a jakże, Funduszu Zdrowia.

URBAN



TRYBUNA LUDZI

I co nam powie Jarosław przed komisją?

Facebook

Zbigniew Sobieraj: Nie wiem, nie rozumiem, nie znam się, ja nawet z bankomatu nie korzystam.

Urszula Szmit: Nic, bo nie przyjdzie.

Dominika Mucha: Odpowiedz na to pytanie zawarłem w swobodnej części swojej wypowiedzi.

Marta Szeląg-Kleśny: Nic, bo będzie spał.

Piotr Zowada: Sztokholm.

Adam Trurl: Dużo o brzozie, bo pomyli komisję ze smoleńską.

Teresa Pomianowska: Spieprzajcie, dziady.

Jakub Baranski: Trzeba zrobić bingo. Moje propozycje na pola to „kanalie”, „zdrajcy narodu”, „prawdziwi Polacy”, „nie będę panom tłumaczył tej technologii”, „z kolan”, „agenci Berlina”, „mlask” (w środku).

Eugeniusz Rezmer: Przepraszam, muszę lecieć, bo czeka na mnie kolejna komisja w sali obok.

Andrzej Samira: Mlask, mlask, wina Tuska.

Tomasz Kotarski: „Czy TV Republika jest tutaj z nami? W którą kamerę mam się patrzeć?”

Płocka Liga: Że jesteśmy coraz bliżej prawdy.

Forum

Lady Macbeth: Odmówi zeznać, bo z Niemcami nie rozmawia.

Arend: Powie czy raczej wymamla?

PRAŚNIADANIOWA

- Nad Polskę nadciąga pył znad Sahary. Oto pierwsze efekty wizyty **Andrzeja Dudy** w Tanzanii.
- **Tygodnik „Niedziela”** przypomina, że każda spowiedź jest jak kąpiel we krwi Chrystusa. Nietoperze masowo zaczynają się nawracać.
- Prezydent Argentyny pięć razy skłonił swego psa. Phi, **Aleksander Łukaszenka** będzie klonował swoją prezydenturę po raz siódmy.
- Portal **Frona.pl** chce zwiększyć dietność dzięki kursom przedmażeńskim. Najlepiej refundowanych przez państwo.
- **Pałac Prezydencki** obchodził Dzień Przewodnika Turystycznego. To spuścizna po Lechu Wałęsie, który obchodził dzień przewodnika.
- **W kaplicy na Dworcu Głównym PKP** we Wrocławiu można się wypowiadać. Rozgrzeszenie za przeklinanie na opóźnienia pociągów będzie wydawane od ręki.

MARTA M.



PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Fys: TOMASZ WINTER



Rolnicy kontra stolica.

FOT. MACIEJ WIŚNIEWSKI

Nie wzięli Warszawy szturmem. Zresztą nie było takiej potrzeby, bo miasto nie miało ochoty się bronić, ograniczyło się do obojętności lub słabo maskowanej niechęci. Rolnicy na 27 lutego wyznaczali sobie w stolicy marsz gwiazdzisty. Chcieli, by ich tutaj zobaczono. By usłyszano. Może się wystraszone. Nic takiego się nie stało.

Plac Defilad

O 11.00 mieli się spotkać pod Pałacem Kultury. Ten gmach nie takie zgromadzenia widział, więc to nie mogło zrobić na nim większego wrażenia. Owszem, protestujących rolników było dość dużo i byli głośni. Nieźle przygotowani, jeśli chodzi o sprzęt nagłaśniający, na pierwszy rzut oka trudno było się oprzeć odczuciu, że naprawdę przyjechała tu cała rolnicza Polska. Ale nie zalali ani placu Defilad, ani przylegających ulic. Prorządowa telewizja z lubością pokazywała demonstrację z lotu ptaka, by było widać, że to takie tam niewielkie zdarzenie, nieledwie incydent. Nie żeby je lekceważyć, ale przecież trzeba znać proporcje. Przypomnijmy sobie taki na przykład marsz miliona serc czy co tam jeszcze organizowano przed 15 października. O, wtedy tak, wtedy to Warszawa była świadkiem przypływu ludzkiego morza, a dziś? Wzruszenie ramion.

Zółto od kamizelek i biało-czerwono od flag. Pod PKiN uformowały się dwa centra. Jedno, tam gdzie przemawiano i prezentowano, że się tak wyrażę, oficjalną linię protestu. Do mikrofonu podchodzili kolejno ludzie (nie mam pojęcia, czy kolejność była wcześniej uzgodniona) i na przemian grozili, prosili i przekonywali. Zwracali się do warszawiaków, opisując, jak dostają po tyłku od Ukrainy i od Unii Europejskiej naraz. Roztaczali mroczne wizje żywnościowych braków lub po prostu drożyzny, na którą obywatele wielkich miast nie będą mieć wpływu. Prezentowali czarne scenariusze życia ich rodzin w biedzie. Pokazywali, niczym wiarus blizny, plakaty: że nie będzie co jeść, że polskie rolnictwo ginie, że miastowi będą głodni, nadzy i trzeźwi. Nie brakowało plakatów i znaczków antyukraińskich: wbite w Polskę widły w ukraińskich barwach, biało czerwony ludzik wykupuje niebiesko-żółtego ludzika. Impo-nujące, tylko że nikt z warszawiaków tego nie słuchał.

Wchodzę i przeciskam się przez tłum. Zapach potu, ludzkich ciał i trochę, co tu ukrywać, wczorajszej (a może i dzisiejszej) gorzałki. Wycie wuwuzeli oraz strażackich syren. Ten gość, co się właśnie prostuje po kolejnym kręceniu korbą, wydycha powietrze z wyrazem spełnionego obowiązku. I jeszcze raz, i jeszcze.

Krążę od jednego do drugiego, pytając o powody ich obecności. Interesują

mnie powody osobiste, bo to, że uraczam mnie na początku tymi samymi hasłami co na plakatach o głupiej Unii, jest do bólu przewidywalne. A ja bym chciał usłyszeć jakieś konkrety. Pytam o nowiutkie traktory, bogatą wieś, kiedy się jedzie przez Polskę, nieporównywalnie bardziej zasobną niż przed 20 laty. Od niechęci rzucam zdanie o dotacjach od Unii, na której wieszają teraz wszystkie psy.

Ekonom z batem

Ten, któremu zadałem ten zestaw pytań, patrzy na mnie nie to, że z niechęcią, a raczej z politowaniem.

– Pszenica była w zeszłym roku po 1700, w tym jest po 600. Trzymałem, bo ten baran minister mówił, że ceny pójną w górę i żeby nie sprzedawać. No to nie sprzedawaliśmy. Nie ja jeden przecież. Sąsiedzi też. Jakoś żeśmy przeczekali, oszczędności poszły, a teraz co mam robić?

– Z głodu nie umrzecie...
– Nie umrę. Chłop się utrzyma. A ty...?

– Coś przyjdzie z importu...
Macha na mnie ręką i odwraca się zniechęcony moim debilizmem.

Podpuszczałem go. Używałem argumentów, których pełno w sieciach społecznościowych.

„Szlag mnie trafia, chłopki roztropki, no chłop żywemu nie przepuści”, „Ciemnota, pisowska elita”, „Małorolny musi mieć ekonoma z batem nad sobą, bo inaczej głupieje”, „Wypasione pisorolnicy wysypali ziarno na glebę, bo oni głodu nie znają. Oby za to chleba im zbrakło, barbarzyńcy”, „Faktycznie – biedni ci rolnicy. Na protesty ściągają traktorami wartymi miliony, za dotacje z EU, wielu z nich jest de facto milionerami, jak ten biznesmen, który to nakręca”...

No i oczywiście niezapomniana prof. Magdalena Środa: „Zero solidarności z rolnikami. To bogata i bardzo roszczeniowa klasa społeczna. Mają ogromne

dopłaty z Unii, ale gardzą nią, nie płacą podatków, ale gardzą rządem, nie pamiętają, kto zaniedbał ich interesy (PiS), ale wał w KO; nie mają żadnej wrażliwości na to, co dzieje się w Ukrainie: przedkładają swój interes ekonomiczny nad sprawy życia i śmierci naszych sąsiadów; współdziałają ramię w ramię z konfederatami i myśliwymi (trudno powiedzieć co gorsze), no i co najważniejsze: są (świadomie lub nie) manipulowani przez Rosję”...

No, nie używałem dosłownie powyższych argumentów w trosce o swoje bezpieczeństwo, ale linię myślenia zachowałem. Miałem jeszcze kilka słownych przepychanek, wszystkie niemal takie same. Potem trochę zmieniłem ton rozmowy. Ciekawiło mnie, czy jest szansa, by odpuścili, gdy rząd i Unia dadzą im jakieś pieniądze.

Może tak tylko się popisywali przed obcym, ale może nie: determinacja jest zauważalna. „Nie mamy dokąd już uciekać” – powiedział któryś. A, i wszyscy mówili, że mają poparcie rodziny, niektórzy przyjechali z dorosłymi lub nieletnimi dziećmi.

Raz na jakiś czas wznosili okrzyk: „Chłopi razem!”, jakby sami chcieli się utwierdzić, że są jednością, której im się odmawia, twierdząc, że to przypadkowa zbieranina indywidualnych producentów rolnych, których nie łączy żaden wspólny interes, poza chęcią zarabiania jeszcze więcej. Kiedy przemawiał niemiecki rolnik, zapewniający o swej solidarności z nimi i wzywający do wytrwałości, a po nim Bułgar psioczący na Zielony Ład, frenetycznie bili brawo. Być może myśleli: nie jesteśmy sami, wszędzie naszych krzywdzą.

Tęsknota za Lepperem

Drugie centrum protestu było niedaleko – przy wejściu na podziemne perony dworca Warszawa Śródmieście. Tam było ostrzej. Leciąły petardy, próbowano palić opony. Tłum blokował chodnik, którym zwykli ludzie usiłowa-

li przejść od dworca Warszawa Centralna do metra. Przeciskali się, spłoszeni, między głośnym tłumem, starając się nie dotknąć żadnego z mężczyzn w odblaskowo żółtych kamizelkach.

W końcu ruszyli. Z oporami, szarpanym tempem – 100 metrów marszu, 10 minut stania. Na chodnikach przystawali i patrzyli mieszkańcy stolicy. A pochód szedł, mijając kolejno: hotel Metropol (379 zł za jedną noc) i hotel Forum (425 zł), potem na Aleje Jerozolimskie, obok kantoru (dziś dolar po 3,95), sklepu z alkoholem Big Ben (niektórzy tu skręcali), sklepu z kosmetykami Hebe („Zdrowie i piękno”) i wreszcie sklepu z cygarami („Humidor to pojemnik lub pomieszczenie, gdzie możemy kontrolować i regulować wilgotność, parametr bardzo ważny dla dobrej kondycji przechowywanych cygar. Jeśli chodzi o humidory skrzynkowe (najpopularniejsze) w których przechowujemy cygara, to są one wykonywane z użyciem litego drewna, płyt MDF, ozdobnych fornirów i szkła, a okucia, czyli zawiasy, zamki, i obudowy higrometru i nawilżaczy to metal, czasami pokrywany złotem”)...

Po drugiej stronie protestujący mają British Pub Bull Dog (filet z polędwicy wołowej 135 zł). Płynnie przechodzą obok luksusowego domu handlowego Vitkac („Przetestuj najgorętsze trendy nadchodzącego sezonu!” – torebka Bottega Veneta 14 685 zł) i Banku Gospodarstwa Krajowego. Tam w otwartych oknach tłoczą się pracownicy tej szacownej instytucji i z wysoka filmują przechodzący tłum z transparentami. Trudno mi oprzeć się wrażeniu, że spoglądają na tych ludzi jak na mały py w zoo, ale może się czepiam.

To właśnie tam – przy dawnym biurze Samoobrony – czoło pochodu na chwilę się zatrzymało, a z jadącego samochodu ktoś wspominał zmarłego niewyjaśnioną, zdaniem wielu, śmiercią Andrzeja Leppera. Padły słowa o liderze jednoczącym chłopów. Oddawano Lepperowi cześć.

Z wypowiedzi przebiegała tęsknota za czasami, kiedy wyrosły z takich samych protestów przywódca potrafił pierwszy, a może już i ostatni raz nie tylko zjednoczyć wściekłą wieś, ale zrobić z niej realną siłę, wprowadzić do parlamentu i choć przez chwilę zmusić elity do powstrzymania swoich zabaw we władzę bez specjalnego oglądania się na elektorat, którego przydatność i wartość kończy się z chwilą zamknięcia lokali wyborczych. To był czas, kiedy Leppera i chłopów po prostu się bano.

Niepolscy prowokatorzy

To właśnie w tym miejscu usłyszałem równo skandowane: „Cześć i chwała bo-ha-terom!”. To niezawodna Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Jego chłopcy mogą się podobać lub nie; ich przewaga polega jednak na tym, że oni na tym protestie chłopskim byli. I wieś im tego nie zapomni. Czy był ktokolwiek inny spośród polityków polskiego sejmu: ktoś z Koalicji Obywatelskiej, PiS?

A może z Lewicy, która tak wiele mówi o trosce o ludzi pracy i sprawiedli- wości? Nie było nikogo.

Protestujący skręcają w prawo, do placu Trzech Krzyży, a ja na chwilę w lewo, na Nowy Świat, prowadzący do Uniwersytetu Warszawskiego, a potem na Stare Miasto, ulubione miejsce przechadzek klasy średniej, a przynajmniej za taką chcącą uchodzić. Stąd dźwięki protestu trochę słychać, ale nie za bardzo. Pani w eleganckim płaszczu, pytana, co myśli o wściekłych rolnikach, krzywi się z dezaprobatą i mówi, że ich nie rozumie, bo przecież teraz lepiej im się żyje. Pan o szlachetnej twarzy i siwej plerezie zadbanych włosów przejawia cokolwiek protekcyjną empatię: „To zagubieni ludzie. Nie rozumieją, że protestują w gruncie rzeczy przeciwko samym sobie. Nie wiedzą, że nie mają przyszłości z tą ich anachroniczną produkcją i niezbyt wydajnymi małymi gospodarstwami. Dają się wykorzystywać przez niepolkich prowokatorów”...

Kilka osób odpowiadało podobnie, używając słów mniej eleganckich, z których „darmozjadą” było najłagodniejszym.

Kiedy wracam do pochodu, gdzieś przed sejmem zaczepiam jeszcze jednego z rolników, ubranego w kamizelkę z napisem „Oszukana wieś”, wpatrzono w wirny luksusowych sklepów i kawiarni. Zza ich szyb obserwują go młodzi dostatnio ubrani ludzie.

– Oni was nienawidzą – mówię.
– A ja ich pierdole – uśmiecha się w odpowiedzi promiennie.

MACIEJ WIŚNIEWSKI

MÓZDZEK TYGODNIA

Prezydent Andrzej Duda, największy żyjący przyjaciel Ukrainy (największym nieżyjącym jest Nikita Chruszczow), nie został zaproszony do Kijowa na obchody drugiej rocznicy wybuchu drugiej odsłony wojny rosyjsko-ukraińskiej. W ostatniej chwili takie zaproszenie Ukraincy Duzdie cofnęli. Do Kijowa pojechali zatem osamotnieni: przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, premierka Włoch Giorgia Meloni oraz premierzy Belgii i Kanady Alexander De Croo i Justin Trudeau.

„Czy to prawda, że pan prezydent planował wizytę w Ukrainie w ostatnich dniach i ona została odwołana?” – zapytał red. Andrzej Stankiewicz w radiowej audycji „Siódmy Dzień Standu w Radiu Zet”.

Małgorzata Paprocka, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej, zaczęła odpowiadać na takie sposoby:

- „Mówię o fakcie. Pana prezydenta w przeciwnieństwie do Ursuli von der Leyen czy innych przywódców europejskich w Kijowie nie było. Nie było również premiera Tuska”.
- „Pan prezydent jest w stałym kontakcie z prezydentem Zelenskim. Nie odbyła się wizyta rocznicowa”.
- „Stanowisko prezydenta co do wsparcia Ukrainy jest stałe i niezmiennie”.

Stankiewicz jednak nie odpuszczał, aż doprowadził Paprocką do wyznania: „Nie mam wiedzy na ten temat”.

Czytelnikom „NIE”, którzy wyrażą takie życzenie, wyślemy bardzo krótką listę tematów, na które minister Paprocka ma wiedzę.


ilustr. KRZYSZTOF OLENIK

Ani jedna więcej?

Ciężarne będą umierać nawet bez pазernych lekarzy i głupich rozporządzeń.

W Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym we Włocławku zmarła 34-letnia kobieta. Była w siódmym miesiącu ciąży. Płód też nie żyje. Prokuratura prowadzi dochodzenie w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci i bada, czy nie doszło do błędu ze strony personelu medycznego. Według medyków przyczyną śmierci kobiety mógł być zator. Coś, co przydarzyć się może każdemu, w ciąży czy nie.

Herosi oportunistów

Jeszcze kilka miesięcy temu rozpętały się burza medialna. Zbitka słów „śmierć-cięża-lekarze” wystarczyła, by na demonstracje wygonić setki ludzi, protestujących z hasłem: „Ani jednej więcej”. Tak było po sprawie Izabeli z Pszczyny czy Doroty z Nowego Targu. Zaniechania lekarzy przeciwnicy rządu zrzucili na wyrok Trybunału Julii Przyłębskiej. Zdaniem opinii publicznej lekarze tak się przestraszyli nowych przepisów, że woleli śmierć pacjentki niż tłumaczenie się prokuratorom z nielegalnej aborcji.

Dla niezwiązanego z medycyną człowieka brzmi to jak idiotyzm. Szczególnie że za PiS prokuratorzy wcale nie byli skorzy do ścigania aborcji, czego dowodzą śladowe liczby postępowań w kraju, w którym co roku kobiety usuwają ok. 150 tys. ciąży. Mało kto zdaje sobie sprawę, że duża część lekarzy to oportuniści, zainteresowani tylko kasą i świętym spokojem. Gdy w pandemii media pisały nad heroizmem medyków, jedna trzecia z nich robiła co się da, żeby nie leczyć inaczej niż przez telefon. Czemu nie należy się dziwić, bo Judymów zostało niewiele, a reszta jest zorientowana na naprawdę przyzwoite pieniądze przy jak najmniejszym zaangażowaniu. I to nie tylko u nas. Tak wygląda skomercjalizowana rzeczywistość medyczna w całym cywilizowanym świecie. Wyniki leczenia nie poprawiają się dzięki zaangażowaniu medyków, ale dzięki prostym, opartym na statystykach procedurom i standardom leczenia. Jak procedura leczenia danej przypadłości każe kroić, to kroją, jak podać antybiotyki, to podają, a jak nie usuwać martwego płodu – to nie usuwają.

To działa. Bo choć zgodnie z raportem WHO co dwie minuty umiera na świecie kobieta w ciąży, to w latach 2000–2015 globalny wskaźnik umieralności ciężarnych spadł o 33 proc. W 58 krajach o wskaźnikach do tej pory najgorszych odnotowano spadek o ponad 50 proc. Ten trend widać i w Polsce. W 2000 r. było 13,2 zgonów na 100 tys. żywych urodzeń. W 2022 – tylko dwa.

Może dlatego pisowska ministra zdrowia Katarzyna Sójka mogła ogłosić, że kobiety w ciąży „umierały, umierają i będą umierać”. Za tę wypowiedź została przez antypisowskie media rozstrzelana. I pewnie dlatego te same media, ze śmiertelnym newsem z Włocławka, jakoś nie chciały się przebić.

Nie podjęły też tematu „ani jednej więcej” w kontekście cięć cesarskich. Problem z cesarkową polityką państwa był zarówno za PO–PSL, jak i za PiS, a zanoszą się, że zaraz znów się pojawi. A wraz z nim niepotrzebne zgony ciężarnych kobiet.

Jak nie aborcją, to cesarką

Niedawno w Słupsku zmarła 24-letnia kobieta, która wcześniej urodziła bliźnięta poprzez cesarskie cięcie. Ginekologzy, a zaraz pewnie i Ministerstwo Zdrowia, zaczynają oczywiście wołać, że cesarki to straszne zło, a poród tą drogą jest obarczony wielkim ryzykiem, bo na każde 100 tys. kobiet, które rodziły w ten sposób, przypada 13 zgonów. Wśród rodzących siłami natury umierają cztery.

Dane te są tak samo prawdziwe jak badania sprzed kilkunastu lat, które dowiodły, że ludzie pijący alkohol są zdrowsi od niepijących. Żaden debil badający zjawisko nie zwrócił uwagi, że większość niepijących nie łoila dlatego, że lekarze z powodu różnych chorób im zabronili. Z cesarkami jest tak samo. Wskazaniami do rozwiązania ciąży skalpelem są często ciężkie choroby i to na nie schodzą pacjentki, a nie z powodu cięcia.

Faktem jest, że liczba cięć cesarskich znacząco wzrosła. Na początku lat 90. w Polsce ich odsetek wynosił 16 proc. W 2010 r. już 34 proc. Teraz więcej niż co drugą ciążę kończy skalpel.

Według rekomendacji Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) drogą cesarskiego cięcia powinno rozwiązywać się nie więcej niż 15 proc. wszystkich ciąży. Tylko że WHO odnosi się do świata całego, gdzie wciąż rodzą w większości młode kobiety. U nas matkami zostają dziś panie w wieku, do nie-

dawna zwanym balzakowskim – po trzydziestce. Im rodzenie nie wychodzi tak fajnie jak o dekadę młodszym. Choćby dlatego, że zdążyły dorobić się różnych schorzeń. Poza tym znieczulenie przy porodzie, w Europie będące standardem, w Polsce jest luksusem. A cesarki bez znieczulenia zrobić nie sposób.

Cięcie terminalne

Resort zdrowia od lat na siłę stara się odsetek cesarek obniżyć. W 2008 r. NFZ wykombinował, że za cięcie będzie płacił tyle, co za zwykły poród. Szpitale takie cięcia przychodów na pewno zauważyły, ale lekarze chyba nie. Procent cesarek w ciągu kolejnych pięciu lat wzrósł do 37 proc.



Kongres Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego w 2012 r. stwierdził, że „cięcia cesarskie na życzenie, bez wskazań medycznych, uważa się za niedopuszczalne”.

Na czele resortu zdrowia stał wtedy Arłukowicz i wydał rozporządzenie, wedle którego chłastanie rodzących bab mogło być robione w ostateczności. To wtedy żonie olimpijczyka Bartłomieja Bonka odmówiono cesarki i jedno z bliźniąt wyszło na tyle niedotlenione, że żyło tylko kilkanaście miesięcy. Media zaroily się od doniesień o niedobrze zakończonych porodach, w których lekarze nie chcieli robić cesarskiego cięcia.

Rozporządzenie to o mało nie pozbawiło mnie córki i wnuczki.

Zaślepiony ministerialnym prikazem prowadzący ciążę ordynator nie chciał widzieć, że pacjentka ma ewidentne zatrucie ciążowe i dziwne przypadłości neurologiczno-oddechowe. Przez ponad miesiąc, upierając się przy porodzie siłami natury, doprowadził ciążę do poporodowych sześciu punktów w skali Apgar. Gdyby córka nie zwątpiła w autorytet profesora i nie poszła do swojego stałego ginekologa, który natychmiast wezwał karetkę i kazał ją zawieźć na cesarkę – mogłoby być całkiem niedobrze.

W 2019 r. pisowskie Ministerstwo Zdrowia też uznało, że za dużo Polek rodzi przez cesarskie cięcie. Do szpitali poszła rekomendacja, że liczba chłastanych rodzących ma spadać o 2 proc. rocznie. Po dwóch latach opracowano plan zakładający, że do 2028 r. należy zredukować odsetek cesarek do poziomu 30 proc. Od kilku tygodni media są atakowane mnóstwem antycesarskowych enuncjacji medyków. Szykują grunt do kolejnych obostrzeń.

Dlaczego lekarze walczą z cesarkami? Bo tylko oni mogą decydować, czy poród będzie naturalny, czy za pomocą skalpela. Jak ciężarna wie, co jest grane – a często wie – i stać ją na kopertę, to wskazanie medyczne się znajdzie. Dlatego gdy są ministerialne obostrzenia co do cesarek, to cena rośnie i pojawiają się pacjentki, które według wskazań medycznych należałoby ciąć, ale się ich nie tnę. No i jak przeżyją, to urodzą.

TADEUSZ JASIŃSKI

Dzieje PPR widziane przez IPN

Jak „GW” walczy z nieżyjącymi komunistami

„Gazeta Wyborcza” kilka tygodni temu w charakterze historycznej sensacji przedstawiła Edwarda Gierka jako nieuka i półanalfabetę. Teraz w dodatku historycznym (24–25 lutego) kreśli sensacyjny obraz całej Polskiej Partii Robotniczej w okresie okupacji. W stanie rozkładu, spenetrowana i sterroryzowana przez kontrwywiad AK, współpracujący z niemieckim gestapo. W takiej partii robi karierę Władysław Gomułka.

Obraz ten wyłania się rzekomo z nowej analizy starych dokumentów, przedstawionej przez Michała Wójcika w tekście: „Czy za wojennym awansem Władysława Gomułki stał wywiad AK?”. Co to za dokumenty, kiedy powstały i czego dotyczą?

Ich podstawowa część pochodzi ze zbiorów polskiej wyłęgarni fałszu historii zwanej Instytutem Pamięci Narodowej. Są to naukowo bezużyteczne zeznania więźniów bezpieki z lat 1949–1953, z mroków stalinizmu i wyuzdanego bezprawia w śledztwach. Główny świadek tej wersji historii, Kazimierz Cessanis, został w śledztwie zamęczony na śmierć. Popróbujmy jednak ten obraz uporządkować i streścić.

Jak było – zdaniem „GW”

Według Wójcika kontrwywiad AK podjął z PPR przemyślną grę. Pomysłodawcą i wykonawcą tej

gry była niezależna agencja wywiadowcza Brygada Korwina zorganizowana przez byłych „dwójkarzy” – a przez autora uparcie utożsamiana z kontrwywiadem AK. W rzeczywistości były to odrębne byty, czasami współpracujące, częściej zwalczające się, nieporównywalne co do znaczenia, zasobów kadrowych i zaplecza materialnego. Kontrwywiad AK był potęgą, Brygada Korwina – małą radykalnie antykomunistyczną grupą nacisku. Jednego z najważniejszych korwinowców AK zastrzeliło. Czołowy korwinowiec Cessanis utrzymywał – nie przedstawiając na to dowodów – że to on, a nie Mołojec, stał za zabójstwem Marcelego Nowotki, a następnie zręcznie doprowadził do oskarżenia o tę zbrodnię braci Mołojców. Bolesława Mołojca miało zgładzić na Pradze dwóch korwinowców przebranych w niemieckie mundury.

Dalej Wójcik wywodzi, że realizując ten plan, Brygada Korwina wyeliminowała dwóch najważniejszych działaczy PPR. Innych likwidowano drogą skrytobójstw, a najczęściej donosami do gestapo. Straty PPR były tak znaczne, że cała partia znalazła się w stanie dezorganizacji. Korwinowcy mogli zlikwidować również Gomułkę i Mariana Spychalskiego, ale rozmyślnie ich oszczędzano, ze względu na ich pravicowo-nacjonalistyczne poglądy. Torowano im drogę do władzy.

Z tej układanki, jak widać, wylaniał się poręczny i typowy dla stalinizmu akt oskarżenia przeciw Gomułce i towarzyszącej. Bardzo tendencyjny, pełen zmyśleń i zwyczajnych kłamstw. Trudno powiedzieć, czy ten elaborat został w 1949 r. zamówiony w MBP przez Bierutę, czy też wymyślony usługnie przez wiceministra bezpieczeństwa publicznego Romana Romkowskiego i zasugerowany Bierutowi. Wójcik skłania się ku temu drugiemu wariantowi – ale

samą układankę traktuje jak prawdziwy obraz rzeczywistości, a nie chorobliwe urojenia policji politycznej. Wierzy naiwnie i bez zastrzeżeń zeznaniom wymuszonym torturami.

Wartość naukowa ustaleń zbudowanych na takim materiale jest żadna, choć będą się one podobać łowcom sensacji, skrajnym antykomunistom i przysięgłym obrońcom niewinności braci Mołojców, od dziesięcioleci zabiegających o ich rehabilitację. Nam wypada je potraktować jak bzdury i niedorzeczności. Mimo to rozważymy dodatkowo



**Jak
długo,
kurwa,
można?**

Osobisty tekst o aborcji

Nie, to nie to, co myślicie. Jeśli chodzi o ciążę, od wczesnej młodości wiedziałam, że jest jak dziura w zębie: jedna z tych przypadłości, co to lepiej zapobiegać niż leczyć. Ale spędziłam ostatnie 33 lata na pisaniu o aborcji i – osobiście – miałam już tego dość. Z roku

na rok pogłębiało mi się na tym odcinku poczucie beznadziei, toteż ostatnio starałam się temu uniknąć. Bo ile można pisać, że żyjemy w czarnej dupie, zdominowanej przez zawodowych bigotów, którzy pod dyktando kleru podnieśli mizoginię do rangi polityki państwa?

Po raz pierwszy od tych trzech z górą dekad mam poczucie, że zmiana jest nieuchronna.

Zasługa Kaczyńskiego

To dość zaskakujące poczucie – zważywszy że raz już sejmowa większość zniosła to barbarzyńskie prawo. W 1996 r. rządzący SLD wprowadził do ustawy antyaborcyjnej tzw. przesłankę społeczną: zalegalizował przerwanie ciąży ze względu „na ciężkie warunki życiowe lub trudną sytuację osobistą” kobiety. Wtedy jednak lewica działała wbrew całemu establishmentowi, który pozostawał twardo pod butem Kościoła – nikt nie był specjalnie zdziwiony, kiedy Trybunał Konstytucyjny pod przywództwem niekryjącego swojej dewocji prof. Zolla zupełnie arbitralnie tę przesłankę zdelegalizował.

Dziś klimat jest zgoła inny. Kościół jest w defensywie, w mainstreamowych mediach ukazują się teksty, które w latach 90. można było przeczytać tylko w tygodniku „NIE”, a lider chadeckiej partii ogłosił przed wyborami, że nikt, kto nie poprze legalizacji aborcji do 12. tygodnia, nie znajdzie się na jego liście.

To – nawiasem mówiąc – wielka zasługa Jarosława Kaczyńskiego. To on zapisał Kościół katolicki do PiS, wzywając do „obrony kościołów za wszelką cenę” chwilę po tym, jak złożył mu daninę z kobiet, polecając mgr Przyłębskiej zaostrzenie i tak nieludzką ustawę antyaborcyjną. Doprowadził w ten sposób do sytuacji, w której bycie za Kościołem stało się byciem za PiS-em – więc, ipso facto, bycie przeciw Kościołowi zostało utożsamione z postawą antypisowską. To otworzyło drogę do wyzwolenia wszystkich polityków, którzy dotychczas byli sterroryzowani pochodzącym z poprzedniej epoki podziałem na Polaków katolików i komunistów. Za to lewica powinna być panu prezesowi dożgonnie wdzięczna.

Upór lewaczek

Skoro zaś jesteśmy przy lewicy: z dużą radością odnotowuję pryncypialną postawę jej posłanek, które mówią w tej sprawie jednym twardym głosem (zwłaszcza, że wielu innych radości ta formacja swoim wyborcom nie przynosi). Lewica była pierwsza z ustawą liberalizującą prawo aborcyjne. Złożyła dwa uzupełniające się projekty – pierwszy, nazywany bezkompromisowo „o bezpiecznym przerwaniu ciąży”, legalizujący aborcję do 12. tygodnia bez żadnych warunków; drugi, wykreślający z kodeksu karnego przepisy dotyczące pomocnictwa w aborcji nielegalnej. Tu jednakże stało się coś dziwnego.

Pomimo iż projekty trafiły do sejmiku już 13 listopada, w pierwszym dniu nowej kadencji, na

nadanie numeru druku – co rozpoczyna procedowanie – czekały aż do 24 stycznia. To wywołało dość absurdalną pyskówkę między koalicjantami: Czarasty ogłosił, że „ma już osobiście dość” tego, że Trzecia Droga blokuje liberalizację ustawy antyaborcyjnej, i on „nie będzie brał za to odpowiedzialności”. Hołownia odparował, że „mówiąc delikatnie, mijają się z prawdą, a nie owijając w bawełnę, kłamie”, po czym zasugerował, że lewica sama siebie blokuje, bo nie potrafi napisać porządnego projektu bez autopoprawek. Można wszakże odnieść wrażenie, że nie do końca o to chodziło; zważywszy że tegoż 24 stycznia do sejmiku wpłynął konkurencyjny projekt PO, nazwany nieco minoderyjnie „o świadomym rodzicielstwie”, podobny do lewicowego, z tym że nieprzewidujący depenalizacji.

Osobiście podejrzewam, że marszałek Hołownia – któremu debata aborcyjna przed wyborami jest całkiem nie na rękę, albowiem jest w tej kwestii znacznie bardziej konserwatywny od swoich wyborców – nie miał żadnych problemów z zamrożeniem projektów lewicy, która w końcu liczy się w tej koalicji najmniej, ale nie był już taki odważny, gdy przyszło do projektu autoryzowanego przez Tuska.

Cnota Hołowni

A skoro już projektów aborcyjnych nie dało się uniknąć, Trzecia Droga dorzuciła własny: powróć do, za przeproszeniem, „kompromisu aborcyjnego” wykutego przez oszołomów z ZChN w 1993 r., co ma stanowić wstęp do aborcyjnego referendum.

Referendum nad czymś, co w 2024 r. w Europie powinno być bezsporne – prawem kobiet do decydowania o swoim ciele – jest oczywistym idiotyzmem, ale pozwala Hołowni zejść z linii strzału.

Jednocześnie być za prawami ko- biet i za nimi nie zagłosować, czyli, jak mawia lud, przyjemność mieć i cnotę zachować.

Nad tą całą szamotaniną unosi się zaś mroczny duch prezydenta Dudy, który – ponoć – nie podpisze niczego, co będzie nie po myśli episkopatu. Toteż – przekonują posłowie Trzeciej Drogi – nie warto niczego takiego uchylać. Argument wydaje mi się o tyle durny, że po pierwsze, nie wiadomo tak naprawdę, co zrobi Duda; bez szemrania podpisał finansowanie in vitro, choć Kościół kładzie je na jednej półce z aborcją. I po drugie, dla strony progresywnej jest to sytuacja z gatunku win-win: albo ustawa antyaborcyjna zostanie zliberalizowana, albo prezydent ostatecznie pograży swoją formację i zagwarantuje PiS utratę także i „dużego pałacu”. Kwestia aborcji ma bowiem wielką siłę mobilizacyjną, o czym PiS przekonało się ostatnio co najmniej dwukrotnie. Najpierw w październiku 2020 r., kiedy po orzeczeniu trybunału Przyłębskiej kobiety wyszły na ulice, a notowania partii zleciały o 10 proc. i już nigdy się nie podniosły; i drugi raz w październiku 2023 r., kiedy tłumy młodych ludzi stały po nocach, żeby PiS z rządzenia wyrugować.

To wszystko wszakże didaskalia. Prawdziwa zmiana polega na tym, że po raz pierwszy od 1993 r. masa krytyczna polskiej sceny politycznej przesunęła się z pozycji dewocyjnych na progresywne.

Tego procesu nie da się już odwrócić. A zatem, jak mawia dyrektor Rydyk: alleluja i do przodu.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

kilka problemów szczegółowych, w których autor rażąco rozmija się z prawdą.

Jak było – naprawdę

1. Bolesław Mołojec nie był w grupie inicjatywnej zastępcą i ewentualnym następcą Marceliego Nowotki, osobą numer dwa; tym zastępcą i następcą był Paweł Finder. Potwierdził to bezspornie Leon Kasman – w tym czasie jedyny przedstawiciel polskich komunistów w strukturach pokominternowskich KC KPZR. Według niego Mołojec nie był nawet bezspornym kandydatem do grupy inicjatywnej, o jego włączeniu przesądził Nowotko. Finder i Fornalska traktowali zagarnianie przez Mołojca agend kierowniczych po Nowotce jako uzurpację i z tego powodu opowiadali się za jego likwidacją. Warto mieć na uwadze, że Moskwa bez słowa sprzeciwu tę uzurpację przyjęła – ale także bez sprzeciwu zaakceptowała jej dramatyczne przerwanie. Dopiero aresztowanie przez gestapo Findera i Fornalskiej zaniepokoiło radzieckich mocodawców i spowodowało wysłanie do Polski Leona Kasmana, w ubezpieczeniu setki ciężkozbrojnych żołnierzy, dla zbadania sprawy. Dopóki rozgrywki, nawet brutalne, toczyły się w ramach grupy inicjatywnej – akceptowano je. Gomulka sądził, że Kreml ufał przede wszystkim Małgorzacie Fornalskiej, że ona była prawdziwą „panią” podziemnej PPR. Jej brak zachwiał tym zaufaniem.

2. Autor myli się, utrzymując, że obóz londyński zwalczał PPR, nie przebiegając w środkach, skrytobójstwem i donosami do gestapo także. W rzeczywistości nigdy organizacje podporządkowane Londynowi nie posunęły się do politycznych mordów na lewicy ani do denuncjacji. Tym parali się Narodowe Siły Zbrojne. Obóz londyński respektował w tym sensie konsekwencje aliansu zachodnich mocarstw z ZSRR. Wiedział, że brutalna rozprawa z PPR zostanie potępiona przez te mocarstwa.

Gdyby to AK miała dokonać zamachu na życie przywódcy PPR, decyzję musiałby autoryzować komendant główny. Zostałyby ślady w dokumen-

tach. Nie ma ich. Samowola też wykluczona: bojownicy AK nie trzymali broni po domach, nie nosili jej przy sobie, była zbyt cenna i zbyt niebezpieczna było jej posiadanie. Przechowywano ją w skrytkach na melinach i wydawano na akcje. Przechwalni jakiegoś korwinowca w zeznaniach dla bezpieki w parę lat po wojnie trzeba włożyć między bajki.

3. Dotkliwie i częste wpadki PPR w ręce gestapo nie były spowodowane denuncjacjami, lecz ubóstwem politycznym i finansowym tej partii. Skuteczna konspiracja wymaga solidnego zaplecza społecznego i dużych pieniędzy. PPR brakowało i tego, i tamtego. Odczuwała dużą niedobór bezpiecznych lokali. Stąd tyle wpadek. Ostatecznie aresztowanie Findera i Fornalskiej było spowodowane wybraniem na posiedzenie KC niewłaściwego lokalu, zaproponowanego zresztą przez Fornalską. Był to lokal używany przez nią na kontakty po linii wywiadowczej, a nie partyjnej. Gestapo trafiło na jego ślad i założyło kocioł. Wpadli Finder i Fornalska – bo umówili się na wcześniejszą rozmowę. Tylko przypadek spowodował, że Józwiak i Gomulka uniknęli tego losu. Gomulka, zaniepokojony stojącym przed tym domem samochodem osobowym, postanowił nie wchodzić przed sprawdzeniem, co to za samochód, ostrzegł też Franciszka Józwiaka. Z kolei Hilary Chełchowski ocalał, bo się spóźnił i przyszedł, gdy Niemcy wyprowadzali aresztowanych. Gestapo długo nie wiedziało, kto wpadł ich ręce – ustalili tylko łatwo, że Finder był Żydem. Areszt Fornalskiej na kilka miesięcy przerwał łączność z Moskwą, jedynie ona znała szyfry. Takie przypadki rządziły losem tej konspiracji.

...

Poza tym sądzę, że poważna gazeta nie powinna takich bzdur mylić z wartościowymi odkryciami i ich publikować. Ale cóż, miał rację Władysław Bieńkowski, kiedy twierdził, że jedyną rzeczą głępszą od komunizmu jest antykomunizm właśnie.

ANDRZEJ WERBLAN

R E K L A M A

**MIKE ZAJKO ALGORYTMY
W SŁUŻBIE PAŃSTWA**

**WSPOMNIENIE
O WITOLDZIE OLEJARZU**

**PRZEKRETY POLSKIEJ
FUNDACJI NARODOWEJ**

ROLNICY, ULICA I GRANICA

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

**Dlaczego Józef Franczak „Lalek”
ukrywał się do 1963 r.**

**FALSZYWY MIT
„WYKŁĘTEGO”**

Mateusz Porażka

Już wiemy, iż Mateusz Morawiecki ma złamaną nogę, którą włożono mu w gips. Jak to napisano: „uległ wypadkowi, przewracając się podczas wychodzenia z kościoła”. To się zdarza. W większości przypadków podobnych wypadków nie mamy co do nich tak szerokiej wiedzy jak wtedy, kiedy chodzi o byłego premiera. Owe wypadki, którym „ulegamy” (czyli musiałyby być to jakieś obiektywnie istniejące zewnętrzne siły) interpretowane są jako przypadek.

Tylko czy to na pewno są przypadki? Weźmy dla przykładu inną, nieco prostszą, ale prawdziwą sekwencję zdarzeń:

Chciał, bo musiał

Facet miał, czyli chciał, bo musiał, udać się w zagraniczną podróż służbową. Kupił bilet na samolot. Spakował walizki. Obudził się, jak przykazał Bóg. Zjadł śniadanie. Wyszedł z domu i już w samochodzie w drodze na lotnisko zorientował się, że zapomniał paszportu. Musiał więc wrócić, aby zabrać ów paszport. Mniemając, że dokument znajduje się w barku, otworzył barek. Ale paszportu tam nie znalazł. Już był nieco w niedoczasie. Bezskuteczne poszukiwanie paszportu zajęło mu kolejne 20 minut. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go zostawił. Zapytał więc żony, która pamiętała, że widziała paszport na półce z książkami między „Kamasutrą” a biografią Adolfa Hitlera Alana Bullocka¹. Rzeczywiście paszport się tam znajdował.

Gość zabrał więc paszport. Z zegarka wynikało, że ma już mało czasu. Postanowił zatem dojechać do lotniska krótszą drogą, która jednak jest gorszej jakości. Mniej więcej w połowie okazało się, że płynny dotąd ruch blokuje śmieciarka. Mężczyzna był wkurzony. Objechał śmieciarkę poboczem, gdzie leżały żelbetonowe płyty, z których wystawały metalowe pręty. Kilka kilometrów dalej usłyszał „lub, lub, lub”, a samochód mimo brutalnego kontrowania kierownicą ścigał w lewo. Wiemy już, o co chodzi. Musiał wypakować bagaż. Znalazł klucz do kół i poluzował śruby na feldze. Następnie wyjął zapas z bagażnika i ośupiął! Nie było tam lewarka. No po prostu nie było podnośnika! Wymiana koła stała się niemożliwa. Czas uciekał. Co robić? Zostawić samochód i wezwać taksówkę? To potrwa nie wiadomo ile. Znalazł inne rozwiązanie. Zatrzymywał samochody, może jakiś kierowca pożyczylby lewark.



Zły dobrodziej

Trwało kwadrans, zanim ktoś się zatrzymał. Kierowca furgonetki pożyczyl podnośnik. Kiedy facet lewarkował auto, szofer stanął z tyłu za otwartym bagażnikiem, frasując się: „Jak to w subaru nie ma lewarka?”. Przyjrzał się dokładnie przestrzeni ładunkowej. Otworzył jedną z tapicerowanych skrytek. Lewarek był tam, gdzie powinien. Teraz już wymiana była kwestią użycia właściwego lewarka, przykręcenia zapasowego koła i spakowania zawartości bagażnika. Kiedy wspomniane subaru podjechało na lotniskowy parking, samolot, w którym miał być kierowca, właśnie odrywał się od ziemi.

No cóż. Rzecz można, seria fatalnych zbiegów niepomyślności, przypadków i pecha spowodowały, że nie pofrulałem w tę delegację (jak można się domyślić, byłem owym facetem). Miałem dobre usprawiedliwienie. Oficjalnie mogłem stwierdzić,

że chciałem, ale, no, się nie udało. To oczywiście przyjęte zostało ze zrozumieniem i usprawiedliwione. I można by o sprawie zapomnieć, zwłaszcza że tylko ja wiedziałem, jaka była prawda.

Otóż prawda była taka, że nie chciałem jechać w ową delegację, choć się zgodziłem i twierdziłem wbrew samemu sobie, że to świetny pomysł i wyróżnienie. Wyjazd mi zupełnie nie pasował. A co było dalej? Niby zapomniałem, nie znajdowałem, wybrałem przecież tę krótszą drogę, a potem pomyliłem się co do tego, czy lewarek jest, czy go nie ma. Można powiedzieć, że to nie moja wina. W takim razie czyja?

Jesteś swoim najgorszym wrogiem

To mój mózg zapomniał o zabrananiu paszportu, to mój mózg nie mógł znaleźć go na półce, to mój mózg wybrał obiektywnie gorszą trasę dojazdu na lotnisko i to mój mózg wymyślił sobie, że lewarka w bagażniku nie ma, choć w rzeczywistości się tam znajdował.

Ludzkiemi działaniami bowiem kierują impulsy świadome i nieświadome. Jakby świadomie to ja deklarowałem, że chciałem, ale podświadomie to nie chciałem. Jak widać, mój organizm wybrał to, co było dla mnie najwyraźniej ważniejsze. Robił wszystko, aby pokierować mną w sposób taki, żeby moje życzenie się spełniło. Byłem nieco wściekły na przeciwności, ale nie dostrzegałem prawdziwego ich źródła. W gruncie rzeczy swoją wobec samego siebie obłudą wprowiłem własny umysł w niejaki chaos poznawczy, który wywołał serię czynności omyłkowych. Te doprowadziły do pozornie niechcianego stanu spraw i rzeczy.

Nie dysponuję statystycznie wiarygodnymi wynikami, ale zaryzykuję tezę, że większość nieszczęść, jakie nas spotykają, jest przez nas całkowicie zawniona, choć nie uświadamiamy sobie prawdziwej natury tej winy.

Upadek Mateusza

Wróćmy do incydentu z Morawieckim. W gruncie rzeczy to było tak:

Chciał postawić nogę na płaskiej powierzchni, ale jego mózg pomylił się w ocenie odległości między stopą a glebą. Oparł zatem obutą nogę kantem podeszwy. Ciężar ciała przeniósł na lewą stronę. W rezultacie źle podparta o podłoże noga nie utrzymała Morawieckiego w równowadze pionowej. Jebnął o glebę. Przeciężona kostka uległa złamaniu (fatalna kontuzja, która wielu narciarzy przed wynalezieniem butów zjazdowych z wysoką cholewą uczyniła kalekami). Uraz wiązać się będzie z długotrwałym leczeniem, uciążliwą rekonwalescencją, która nie daje gwarancji na odzyskanie naturalnej sprawności.

Pozostaje pytanie, jak to się stało, że mózg Morawieckiego pomylił się podczas tak prozaicznej czynności jak stawianie stopy na płaskiej powierzchni? Jego sieć neuronowa wykonywała już takie obliczenia miliardy razy. Za każdym razem z doskonałą skutecznością, a tu bum! Morawiecki nie jest jeszcze starą kobietą, aby jego zwapniałe kości czy stawy łamały się przy byle podskoku. Przyczyna tego idiotycznego błędu o być może katastrofalnych konsekwencjach jest wytłumaczalna zupełnie inaczej.

Logiczne jak hamburger

Zacznijmy od grudnia, kiedy premier Morawiecki wygłaszał exposé swojego rządu. On ry-

sował perspektywy, snuł wizję, mianował ministrów całkiem poważnie, mając jednocześnie świadomość, że ten rząd nie ma szans się utrzymać. Z przyczyn nie do końca przez siebie zawnionych zasiał swój umysł błędnymi informacjami: „będę premierem” i „nie będę premierem” przyszłego rządu. I nie było to pierwszy raz. Działalność Mateusza Morawieckiego przez ostatnie lata to w gruncie rzeczy nie tyle wprowadzanie w błąd społeczeństwa, elektoratu, ile oszukiwanie samego siebie.

W kulturze polskiej gospodarki nie zdarzyło się, aby jakieś poważne przedsięwzięcie zrealizowane było zupełnie samodzielnie, a już na pewno nie budowa fabryki samochodów. Morawiecki doskonale o tym wiedział. Rozumiał, że wyprodukowanie miliona aut elektrycznych jest zupełnie niemożliwe. Ale publicznie twierdził co innego. Koszty tego kłamstwa poniesiemy wszyscy, jednak nie pozostało ono również bez skutku na pracę szarych komórek pana Morawieckiego.

Pan Morawiecki również wiedział, że nie tak się buduje porty lotnicze, jak to się za jego władzy zabrano. „Nie tak to działa, panie premierze”, zapewne tłumaczył mu niejednen z odważniejszych ekspertów, ale taka prawda nie pasowała do ogólnej koncepcji i nie miało znaczenia, że mózg Morawieckiego się z nią zgadzał. Morawiecki zaakceptował fałsz, na jaki się nie zgadzał.

Ekspremier zastał Polskę w ruinie, chociaż obiektywnie jego mózg nie rejestrował żadnych zniszczeń. Twierdził, że kiedy był szefem w Wielkopolskim Banku Kredytowym, nie dawał kredytów we frankach, a dawał. Utrzymywał, że katowała go PRL-owska Służba Bezpieczeństwa, gdy miał 13 lat, choć co najwyżej to zawistni koledzy topili mu głowę w kloziecie, jako nielubianemu kujonowi.

Nawykowy kłamca

Dziennikarze TVN swego czasu z aptekarską skrupulatnością wykazywali, że w latach 2018–2022 Morawiecki świadomie skłamał 47 razy w sprawach mniejszej lub większej wagi. Nie brali pod uwagę kłamliwych obietnic wyborczych ani pomyłek, które wynikają z niepamięci lub odmienniej percepcji. Pominęli też świadome naginanie faktów lub twierdzenie nieistniejących („załatwiłem wam ponad 750 mld zł z Europejskiego Funduszu Odbudowy”).

Nie wszystkie kłamstwa Morawieckiego miały oczywiście charakter autorski i wynikały z osobistych błędów poznawczych. Znaczna ich liczba pochodzi od jego o 19 lat starszego mentora Jarosława Kaczyńskiego, z którym Morawiecki zasadniczo w głębi ducha się nie zgadzał, ale z kurtuazji, własnego interesu oraz koleżeńskich korzyści szefowi przytakiwał (jak ja w sprawie tej lotniczej delegacji).

Jak może zatem działać mózg człowieka, który przez ponad osiem lat zasilał by fałszem? Ano mniej więcej tak jak komputer sterowany pirackim oprogramowaniem lub algorytm wyskalowany lipnymi danymi. Teraz jest na to modne określenie „halucynacja”.

Głowa Morawieckiego zawiera myślącą strukturę białkową, która została wytrącona z prawidłowego funkcjonowania ukonstytuowanego kodem DNA we fragmencie spirali odpowiedzialnej za energetykę kory mózgowej.

Do tej pory Morawieckiemu tylko nic się nie udało. Miało to względnie neutralne skutki, jednak obecnie już jego własny umysł będzie pracował destrukcyjnie ze szkodą dla niego samego i wszystkich, którzy skazani są na jakieś z nim interakcje.

Na razie był to upadek na prostej drodze. Potem okaże się, że koszt się nie zrasza, jak powinna, nie wiadomo dlaczego. Następnie będą to jakieś absurdalne wydatki fors, którą rzekomo uczciwie zarobił. Spotka jakąś kochankę, przez co porzuci go żona, wsiądzie po kielichu za kółko itd.

Prawo karmy?

Żyję już wystarczająco długo, aby być pomny tych wszystkich Marcinkiewiczów, Pęczaków, Tymochowiczów (tutaj dodajcie sobie kilka innych nazwisk, których mi, ze względów towarzyskich, napisać nie wypada), którzy ulegli własnym kłamstwom, dającym początkowo bardzo porządną efekty, aby jednak wrócić czkawką nieprzewidywanych i z pozoru niemających z przeszłymi czynami związku nieszczęść.

W hinduizmie coś takiego nazywane jest karmą. Istnienia jej na zasadach tam opisywanych raczej bym nie potwierdził, ale też nie mam dowodów, aby zaprzeczyć. Według mnie spostrzeżenie joginów jest ważne, bo upewniam, że taki lub bardzo podobny mechanizm obiektywnie istnieje. Uważam, że ma mniej metafizyczne, a bardziej biologiczne, neurologiczne, racjonalne i przyziemne wytłumaczenie.

W tym felietoniku nie chodziło oczywiście o zniszczony patologicznym łgarstwem umysł Mateusza Morawieckiego. To jest już półtora kilograma bioodpadów.

Chodzi raczej o wasze i nasze umysły, które być może są jeszcze do uratowania. Lepiej po prostu nie kłamać. Unikać fałszu nawet wtedy, kiedy nikt poza wami samymi nie jest w stanie was zdekonspirować. W przeciwnym razie nasz sługa i przyjaciel, na którym tak bardzo chcemy polegać, zwany rozumem, może nas wyprowadzić w pole.

ROBERT JARUGA

robert.jaruga@doborowa.com.pl

1. Alan Bullock, „Hitler. Studium tyranii”.

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Czesław Renkiewicz, prezydent Suwałk, był bardzo rozczarowany, że mieszkańcy jego miasta byli rozczarowani wyglądem nowego logo, które zamówił dla nich w agencji brandingowej Rio Creativo ze Słupska. Kosztowało to 48 tys. zł z miejscowych podatków. Logo przedstawiało niebieską literę S na białym tle. S to od pierwszej litery nazwy miasta Suwałki. Wobec nawalniczy rozczarowań Renkiewicz uchylił swoją własną decyzję i podjął nową decyzję, że Suwałki pozostaną przy starym logo. W Polsce jest wiele miast na S, więc logo się nie znajmuje. Na miejscu słupskich artystów spróbowałbym je sprzedać w Sosnowcu.

■ Mieszkanka warszawskiego Targówka straciła panowanie nad hodowlą szczurów, jaką prowadziła we własnym mieszkaniu, a potem w piwnicy. „Brak odpowiedniej wiedzy dotyczącej opieki nad zwierzętami doprowadził do szybkiego rozmnożenia dwóch par szczurów do kilkudziesięciu osobników” – wyjaśniła sytuację straż miejska, która przybyła na pomoc. Przedstawiciele fundacji Międzynarodowy Ruch na rzecz Zwierząt VIVA odebrali gryzonie.

Szczury zostały przewiezione do jej siedziby, gdzie oczekują na nowych właścicieli. Jeżeli ktoś jest zainteresowany, podajemy telefon: +48 801 011 902 (od 9 do 17).

■ W miejscowości Biecz (powiat gorlicki) 24-letnia kobieta zadala kilkadziesiąt ciosów nożem w klatkę piersiową, szyję i głowę swojej 94-letniej babci. Ponieważ starsza kobieta poczuła się od tego nie najlepiej – wnuczka wezwała pogotowie. Niestety lekarzom nie udało się uratować życia poranionej. Wszystko, na co było ich stać, to powiadomienie policji.

■ Studenci z Akademii Górniczo-Hutniczej (w Krakowie) ze swoim żakiem marsjańskim Kalman wygrali zawody łazików marsjańskich w Kanadzie. Kanada nie leży na Marsie. Są to kolejne zawody robotów marsjańskich, w których ów Kalman zdobył pierwsze miejsce. Poprzednio zatrzymał w Stanach Zjednoczonych i Indiach. Jest to sygnał dla polskiego biznesu. Jak byśmy teraz zaczęli wycinkę drzew pod fabrykę, w której produkowane byłoby one Kalmany, kiedy ludzkość dotrze na Czerwoną Planetę, na czas rozpoczniemy produkcję. Będą wtedy jak znalazł.

■ Ośmioletni Ashwath Kaushik z Singapuru został najmłodszym graczem w historii, który pokonał arcymistrza w szachach klasycznych. Pokonany to 37-letni Polak Jacek Stopa. Arcymistrz przegrał z dzieckiem na turnieju Burgdorfer Stadthaus-Open w Szwajcarii. „To było naprawdę ekscytujące i niesamowite uczucie. Czulem się dumny z mojej gry i tego, jak grale, zwłaszcza że w pewnym momencie byłem

w gorszej sytuacji, ale udało mi się z tego wyjść” – powiedział młody szachista. Starszy szachista nic nie powiedział.

■ Podobno w ofercie sieci sklepów Lidla i Biedronki pojawiła się wódka w cenie 9,99 zł za pół litra. Nazywa się Parkowa. Pobieglem kupić 20 litrów, żeby chociaż do Wielkanocy starczyło. Niestety inni byli szybsi.

■ Radziecką bombę lotniczą sprzed 80 lat znaleziono podczas remontu domu w świętokrzyskim Suchedniowie. Jest to dowód na fuzerkę radzieckiego przemysłu bombowego, no bo przez tyle czasu bomba nie eksplodowała. Ale jest to również dowód solidności jej wykonania, no bo przez 80 lat nie wybuchła. W zależności od tego, czy jesteście optymistami, czy pesymistami, wybierzcie sobie właściwy dla waszego światopoglądu komentarz.

■ Złe woleski trafily na warszawski Żoliborz z Wielkopolski. Wojewódzki lekarz weterynarii w Poznaniu Andrzej Zamecki poinformował, że we wsi Skrzębowa w powiecie ostrowskim zagazowano i wywieziono do utylizacji 21 tys. kaczek. Była to likwidacja przewencyjna. Wszystkie były chore. Lub niemal chore. Lub mogłyby być chore na ptasią grype, która jest bardzo dla drobiu zabójcza.

■ Górale w Zakopanem nie będą mieli gdzie mieszkać, powiedział Karol Wagner z Tatrzańskiej Izby Gospodarczej. Doszło bowiem do sytuacji, w której lokalni mieszkańcy zostali wykluczeni z rynku nieruchomości przez zbyt wysokie ceny. Metr kwa-

dratowy byle koliby kosztuje na rynku wtórnym pod Tatrami 17 tys. zł, a w nowo budowanym apartamencie nawet 20 tys. Jak mogło do czegoś takiego dojść? Zakopane bez autochtonicznej ludności to jak Krupówki bez białego niedźwiedzia!

■ „5,67 promila alkoholu w wydychanym powietrzu miał 39-letni kapitan statku towarowego obcej bandery, który chciał wypłynąć ze szczyńskiego portu do Wielkiej Brytanii” – poinformował rzecznik prasowy Morskiego Oddziału Straży Granicznej w Gdańsku. Ponowna odprawa graniczna zostanie przeprowadzona, gdy załoga będzie trzeźwa – zarzekł się rzecznik. Obca bandera była w kolorach żółtym i niebieskim – można wyrozumować z komunikatu rzecznika. Prawdopodobnie więc chodziło o statek szwedzki. Choleme moczymordy!

■ Ministerstwo Sprawiedliwości ujawniło, że w związku ze zmodernizowanym w 2020 r. Kodeksem karnym, w którym przybył artykuł 306 A o treści: „Kto zmienia wskazanie drogomierza pojazdu mechanicznego lub ingeruje w prawidłowość jego pomiaru, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5” na karę bezwzględnego więzienia skazano w 2023 r. 23 osoby. To oznacza, że możesz iść do pierdla za to, że popsuł ci się licznik w aucie. Karę śmierci za nieposiadanie gaśnicy wprowadzą niebawem.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy regionalnej, gdzie w zależności od regionu kraju inne jest wyobrażenie o prawdziwej obiektywnej. Należy traktować je z ostrożną powagą oraz unikać kapitalnych wniosków. A co najważniejsze, nie wolno obciążać nas za nie jakiegokolwiek odpowiedzialnością.

Nowy wspaniały świat

Czy prezydent Putin jest agentem amerykańskiego wpływu?

Zapewne prezydent Putin, decydując o ataku na Ukrainę, myślał nie tylko o zwasalizowaniu Kijowa, ale też o tworzeniu nowego ładu międzynarodowego. O osłabieniu światowej hegemonii USA, rozbiciu jedności NATO i Unii Europejskiej. O globalnym wzmocnieniu Rosji. Po dwóch latach wojny w Ukrainie możemy oceniać, jak ten nowy ład mu się udał.

Waszyngton góra

Dziś nietrudno zauważyć, że największym beneficjentem putinowskiej operacji wojskowej stały się Stany Zjednoczone. Dzięki rosyjskiej agresji umocniły swą przywódczą rolę w NATO. Stłumiły ambicje Paryża do tworzenia załążka wojsk Unii Europejskiej i europejskiego ośrodka ich dowodzenia. Ospałe, krytykowane za stan „śmierci mózgowej” NATO nie podzieliło się. Sznurem stanęło za amerykańskim mundurem. Dodatkowo powiększyło się o Finlandię i Szwecję, czyniąc Bałtyk swym morzem wewnętrznym. Ze skromnym rosyjskim dostępem.

Pola politycznej i gospodarczej współpracy z Unią Europejską skurczyły się dla Rosji. Jeszcze dwa lata temu liderzy Unii Europejskiej mogli deklarować, że „Waszyngton nie będzie pisał Unii Europejskiej agendy gospodarczej”. Potem atak na Ukrainę wciągnął UE w niechcianą przez nią wojnę gospodarczą z Federacją Rosyjską. W spiralę sankcji gospodarczych pisanych w Waszyngtonie. Niekorzystnych też dla wielu sektorów europejskich gospodarek.

Ponieważ życie gospodarcze nie zna pustki, to amerykańskie firmy zaczęły zajmować w UE miejsca rosyjskich dostawców. Inne wzmocniły się kosztem europejskich osłabionych utratą rosyjskich rynków.

Bo mimo jednościowego alertu w NATO spory gospodarcze USA–UE nie ustały. W motoryzacji nastąpiła nawet cicha zimna wojna.

Straty rosyjskich wojsk w Ukrainie poprawiły też prestiż i wizerunek medialny US armii. Po kompromitacji „drugiej armii świata”, nie wspomina się już amerykańskich „sukcesów” w Afganistanie i na Bliskim Wschodzie.

Pobudka w domu starców

Gospodarki państw Unii Europejskich przez dziesięciolecie rozwijały się dzięki kooperacji gospodarczej z Rosją. Wymianę „produktów przemysłowych za rosyjskie surowce i płody rolne” uprawiała nawet gospodarka polska. Mistrzami w wyścigu z niej korzyści byli Finowie i Niemcy. Zaczęli zaraz po przegranych wojnach z ZSRR.

Wtedy też oba te państwa radykalnie obniżyły swe wydatki wojskowe na rzecz większego wspierania nauki i innowacji technologicznych.

Dzięki tanim rosyjskim surowcom i wielkiemu rosyjskiemu rynkowi zbytu, gospodarki jednoczącej się Europy rosły w siłę, a ludzie żyli tam z roku na rok dostatniej. Wysoka jakość życia sprawiła, że Unia Europejska zaczęła być postrzegana przez jej entuzjastów jako oaza dobrobytu i rozwoju, a przez jej krytyków jako rentierski dom pogodnej starości.

Bo rzeczywiście panujący w UE dobrobyt nie wymuszał radykalnych reform, choć wszyscy już zauważali, że unijna gospodarka zaczyna systemo-

wo przegrywać z chińskimi innowacjami i pobudzonym dotacjami administracji Bidena amerykańskim gigantem.

Przymusowe zerwanie kooperacji z Rosją osłabiło gospodarki Unii Europejskiej. Ale wymusiło też powrót do realizacji wielu przyjętych wcześniej strategii rozwojowych. Wojna Putina stała się strategicznym impulsem do reform i zmian w gospodarkach UE.

Dla przykładu: celem gorąco dziś dyskutowanego programu Fit for 55 jest zmniejszenie do 2030 r. emisji gazów cieplarnianych o 55 proc. oraz osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r. Wcielenie w życie tego ambitnego programu wiąże się też z ograniczeniem zakupów rosyjskich surowców. Wcześniej zakładano stopniowe, mniej bolesne odchodzenie od rosyjskich kopalin. Rosyjska agresja zjednoczyła zwolenników programu i dała dodatkowy impuls do jego weryfikacji. Ulepszenia.

Unia Europejska musi w najbliższych latach wymyślić się na nowo. Stworzyć nowy system swego zarządzania politycznego, gospodarczego, wojskowego. Wstrząs, jakiego doznała w wyniku putinowskiego ataku, pomoże jej wyrwać się z innowacyjnego lenistwa, zdeteminować do reform.

Strach przed utratą zgromadzonego dobrobytu sprawia, że nawet starszuszkiwie zaczynają gryźć.

Przyczajony tygrys

Na nowo muszą też wymyślić się Chiny. Co prawda osiągnęły już wiele z zakładanych swych celów rozwojowych, ale jednocześnie wpadły w pułapki średniego rozwoju. Kończy się rozwój oparty na modelu „Chiny fabryka świata”. Bo nie ma już milionów niewykwalifikowanych pracowników do zagospodarowania. Coraz więcej jest młodych, wykształconych, szukających pracy zgodnej z ambicjami i poniesionymi kosztami edukacji. Coraz więcej jest kontestatorów znanej nam kultury zapierdolu.

Chiny są już drugą gospodarką świata, ale nadal słabszą od amerykańskiej. Chiny też wygrywają na wojnie w Ukrainie, ale bez militarnego zaangażowania się. Robią to, co Niemcy przed wojną. Sprzedają Rosji samochody i inne deficytowe towary w zamian za tanie surowce. Nie popierają antyrosyjskich sankcji, ale nie łamią ich, kiedy amerykańskie retorsje mogłyby zablokować globalne interesy chińskich firm.

Stale też oferują współpracę gospodarczą Unii Europejskiej. Chińskie firmy wyspecjalizowały się w technologiach niezbędnych dla zielonej, odnawialnej i czystej energii. Może się okazać, że bez chińskich technologii Unia Europejska nie zrealizuje swego programu Fit For 55. Który Rosja politycznie zwalcza, a Chiny gospodarczo wspiera.

Chiny politycznie zwalczają globalną hegemonię USA. Próbuje tworzyć alternatywne wobec USA struktury. Szanghajska Organizacja Współpracy miała być azjatyckim NATO. BRICS, czyli Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i Republika Południowej Afryki, wspólnotą gospodarczą inspirowaną Unią Europejską.

Ale Chiny, kreujące się na odpowiedzialne mocarstwo i lidera walki z jednobiegunowym łałem międzynarodowym, konkurują nie tylko z USA.

Są zwalczane gospodarczo i politycznie przez Indie. Stosujące również „niemiecką” politykę gospodarczą wobec Rosji. Ale Indie, choć sprzedają

Rosji objęte sankcjami towary za tanie surowce, nie są krytykowane za to przez zachodnie, demokratyczne media. Bo Indie flirtują też politycznie z USA i mają na Zachodzie opinie państwa demokratycznego. Dzięki temu spokojnie bogacą się na wojnie Putina.

Biedna, ale jądrowa

Po zerwaniu więzi gospodarczych z Europą gospodarka rosyjska staje się podwykonawcą gospodarek chińskiej i w mniejszym stopniu indyjskiej. Rynkiem zbytu ich towarów, ale nie transferów ich technologii.

Jako partner słabszy gospodarczo, politycznie i teraz jeszcze militarnie Rosja będzie musiała liczyć się z presją nowych partnerów gospodarczych. Pewnie dotkliwszą niż poprzednich, europejskich.

Francja i Niemcy nie graniczą z Rosją. Nie kwestionują rosyjskich granic, choć nie uznały aneksji Krymu. Podobnie jak Chiny i Indie.

Chiny z Rosją graniczą. Aktualnej granicy władze ChRL nigdy oficjalnie nie zaakceptowały. Przeciwnie, uważają ją za efekt XIX-wiecznych prób kolonizowania Chin i wymuszonych na cesarstwie nierównoprawnych traktatów. Zapowiadany przez Pekin renesans narodu chińskiego i powrót Chin na należne im miejsce może otworzyć też dyskusję o prawie skutków tamtych nierównoprawnych traktatów. Być powodem do przeróżnych targów.

Chiny rozwijają najnowocześniejsze technologie. Wśród nich odnawialne źródła energii. Rosja swą bronią i źródłem dochodów dla realizacji mocarstwowych ambicji uczyniła handel surowcami energetycznymi. Każda wojenka z programami typu Fit for 55 spycha Rosję do roli hamulcowego światowego postępu technologicznego.

Jeśli Rosja nie wymyśli się na nowo, nie zbuduje gospodarki nowego typu, to niechybnie spadnie do roli drugorzędnego politycznie i gospodarczo mocarstwa jądrowego. Lidera globalnego konserwatyzmu.

Najbiedniejsza, ale pierwsza

Ukraina też tej wojny nie wygra. Zapewne dlatego po wielu targach zgodzi się na zawieszenie broni.

Ocali tym swą państwowość, ale nie integralność terytorialną. Krym i ziemie zabrane przez Rosję będą takim ukraińskim Kosowem.

Pewnie dlatego państwowość ukraińska przez długie lata cementowana będzie antyrosyjską nienawiścią. Dziś pisarz Serhij Zadan jasno deklaruje, że „kultura rosyjska dzisiaj jest częścią rosyjskiej koncepcji ideologicznej. To wykorzystywana przez Rosję broń. Nie ma sensu szukać wewnątrz

tamtejszej kultury jakiegось liberalnego czy demokratycznego ziarna. Dopóki trwa wojna, dopóki ze strony społeczeństwa rosyjskiego i państwa rosyjskiego nie dojdzie do pokajania, wszelkie kontakty kulturalne z Rosjanami są po prostu nie na miejscu”.

Takie powszechne już w Ukrainie nastroje sprawia, że każde przyszłe rosyjsko-ukraińskie sąsiedztwo będzie bardziej zapalne niż serbsko-albańskie w Kosowie, czy koreańsko-koreańskie na wspólnym półwyspie. Ucierpi na tym Rosja, i Ukraina też.

I tak to po dwóch latach wojny ukraińskiej światowa hegemonia USA wzrosła, NATO wzmocniło się i rozpoczęło program zbrojeń, a Unia Europejska podjęła kolejną modernizację.

Gospodarki Chin, Indii, Iranu i Turcji wielce bogacą się na wszelkich dostawach i usługach.

Ukraina okrzepła już państwowo i narodowo, choć jednocześnie umocniła się na pozycji najbiedniejszego państwa w Europie. I pewnie zachowa ją przez najbliższą dekadę. Podobnie jak pierwsze miejsce w kolejce chętnych do Unii Europejskiej.

Rosja, bombardując Kijów i zrywając więzi gospodarcze, kulturalne i polityczne z Europą, uszykowała sobie strategiczną cywilizacyjną klęskę.

Za to prezydent Putin, jako skuteczny zbieracz ziem ruskich, odniósł kolejny taktyczny sukces. Jak znalazł na kolejne parady zwycięstwa.

PIOTR GADZINOWSKI



KAZACZOK Z CZOŁGAMI

„Grupa państw członkowskich UE i NATO rozważa wysłanie swoich żołnierzy na Ukrainę na podstawie umów dwustronnych” – stwierdził słowacki premier Robert Fico przed szczytem w Paryżu, poświęconym bezpieczeństwu w Europie. Fico dodał, że taka decyzja doprowadzi do ogromnej eskalacji konfliktu, a po zapoznaniu się z tematami paryskiej konferencji „ciarki przeszły mu po plecach”. Nie brzmi to optymistycznie.

Z okazji śmierci Nawalnego zorganizowaliśmy w „NIE” redakcyjny konkurs na najpiękniejszą mowę pogrzebową. Bezspornym zwycięzcą został Wacław Radziwiłowicz z „Gazety Wyborczej”. Oto jego dzieło: aktywność Nawalnego „Putina tak przerażała, że nigdy nie użył nazwiska »Nawalny«. Mówiło się, że czuje taki mistyczny lęk przed konkurentem jak starotestamentowy Żyd, który w strachu przed Panem nigdy nie ośmielił się wypowiedzieć imienia Stwórcy”. Zwycięzcę prosimy

o przesłanie swojego adresu pocztowego na e-mail: ukraina.tygodniknie@gmail.com. Nagrodę – opakowanie trzywarstwowych chusteczek higienicznych o zapachu rumiankowym – wysłamy pocztą.

Paweł Kowal (KO), przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych nominowany przez Donalda Tuska na rządowego pełnomocnika ds. odbudowy Ukrainy, udzielił portalowi Interia wywiadu pod optymistycznym tytułem: „Obecnie nic nie da się uzyskać od Ukraińców”. W rozmowie stwierdził: „Jeżeli ktoś ma pomysł, żeby co drugą ulicę na Ukrainie nazwać arterią Romana Szuchewycza, niech to zrobi”, a rzeź wołyńską określił mianem „zbrodni dokonanej przez obywateli polskich na innych polskich obywatelach” i skonkludował, że „zbrodnia nie obciąża państwa ukraińskiego, bo nie istniało”. Najwyraźniej sformułowana przez byłego rzecznika MSZ Łukasza Jasinę doktryna „Jesteśmy

slugami narodu ukraińskiego” mimo zmiany rządu wciąż obowiązuje.

Pierwsza informacja w biogramie konsula Dzwonkiewicz w Wikipedii brzmi „harcerka” – co może tłumaczyć jej młodzieńcze emocje. Dyplomatka tak uzasadnia swoje emocjonalne wzburzenie: „Gdy jako nastolatka dowiedziałam się, że podczas Powstania Warszawskiego stojący po prawej stronie Wisły Rosjanie w 1944 roku nie zgodzili się na śródlądowanie samolotów alianckich niosących pomoc walczącej Warszawie, myślałam, że tak haniebnie mogą się zachować tylko ruscy. [...] Byłam wówczas jako nastolatka przekonana, że tylko ruscy mogą spokojnie patrzeć, jak inny naród się wykrwawia”. Pani Dzwonkiewicz chyba zapomniiała, że w Armii Czerwonej ramię w ramię z Rosjanami walczyli Ukraińcy oraz pozostałe narody ZSRR. Taki z niej historyk, jak i dyplomata.

Konsul generalna we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz podzieliła się na Facebooku refleksją na temat protestów rolników: „Nie mogę już dłużej milczeć. Z miłości do własnej Ojczyzny. Nie mogę udawać, że nie widzę tych hańbiących Polskę działań na granicy polsko-ukraińskiej. Przepraszam Was, drodzy ukraińscy Przyjaciele. [...] Nie wierzę, że [protestujący rolnicy – przyp. MS] to Polacy... Prawdziwy Polak nigdy nie zadałby ciosu w plecy walczącym o wolność sąsiadom [...]. Hańba i wstyd. PRZEPRASZAM walczącą Ukrainę, przepraszam...”. Artykuł pierwszy prawa konsularnego głosi: „Zadaniem konsula Rzeczypospolitej Polskiej jest ochrona interesów Rzeczypospolitej Polskiej i jej obywateli za granicą”.

Kulisy nominacji tego wybitnego fachowca na stanowisko konsula przypomnieli na łamach „Przeglądu” attaché: „Na przesłuchaniu w sejmowej komisji ds. łączności z Polakami za granicą okazało się, że Dzwonkiewicz z wykształcenia jest magistrem filologii ukraińskiej. Pytano więc, dlaczego wybrała takie studia. Na co pani konsul

(wówczas in spe) beztrudno odpowiedziała, że aplikowała na polonistykę. Ale zabrakło jej dwóch punktów. Na szczęście zabezpieczyła się na wypadek porażki, wpisując jako opcję rezerwową ukrainistykę. Ale wcale nie chciała tego studiować”.

Refleksjami geopolitycznymi na łamach „Gazety Wyborczej” podzielił się doradca prezydenta Ukrainy Mychajło Podolak: „VX XXI w. zmobilizować ludzi na wojnę jest trudno w każdym demokratycznym kraju. Rosja jest państwem neostalinowskim, tam ludzi nikt nie pyta, czy chcą walczyć czy nie, mają wykonać rozkaz. W Ukrainie jest inaczej. Nie oznacza to, że mamy z nią problem: ogromna liczba ludzi wciąż gotowa jest bronić swojego kraju”. Niestety Podolak nie wyjawiał, dlaczego wobec „ogromnej liczby” ochotników personel wojskowych komisji uzupełnień wciąż porywa młodych chłopaków na ulicach Kijowa i siłą wciela do wojska.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Buczowska, mon amour!

Lament po artystce w szponach Maryi.



ILUSTRACJA KRZYSZTOF OLEJNIK

Francuzi mają powiedzenie, że okowy małżeństwa są tak ciężkie, że do ich noszenia trzeba co najmniej trzech osób. Zdawałoby się, że znacznie prostszym rozwiązaniem jest po prostu rozwód. Tyle że od kiedy istnieją kredyty i alimenty, proste rozwiązania całkowicie straciły sens. Polacy – znacznie bardziej twórczy niż Francuzi, wszakże nauczyliśmy żabojadów jeść widelcem – doszli do wniosku, że rzeczono okowy nie muszą być noszone z pomocą kochanki lub kochanka. Do życia wpuścić można Boga albo boginię. Aktorka Małgorzata Buczowska zawarła małżeństwo Maryi.

Od przyjemności do proroka

„Kiedyś byłam dużo bardziej skupiona na sobie i na karierze. Byłam pochłonięta pracą, dostawałam nagrody i dużo ciekawych propozycji zawodowych. Gdy po ślubie zaszłam w ciążę, musiałam leżeć przez kilka miesięcy, bo ciąża była zagrożona. Dla mnie ten czas to były kilkumiesięczne rekolekcje, głęboka rozmowa z Panem Bogiem o tym, kim jestem, po co tu jestem, co jest dla mnie najważniejsze. Potem ten dar niesamowitych rekolekcji dostawałam jeszcze dwukrotnie” – wyznała.

Bardzo żałujemy, iż Buczowska lekceważy swoją karierę. Pokonała wiele kandydatek w castingu do roli nadkomisarz Marii Sokołowskiej w serialu „Zasada przyjemności” (2019). Cholera, była bezkonkurencyjna! I co? I nico. Trzy lata później zagrała w filmie „Prorok” o prymasie Wyszyńskim. Realizowanym przez Fundację Filmową im. św. Maksymiliana Kolbe oraz TVP. A obecnie ma 47 lat, czyli weszła w wiek, kiedy kino polskie nie ma aktorkom nic godnego do zaproponowania. Buczowska, mon amour, co się z panią stało?

„W mojej branży jest mało rodzin wielodzietnych, można je policzyć na palcach jednej ręki. Producenti, gdy zachodziłam w kolejną ciążę, byli pewni, że to już ostatnia. Mamy z mężem troje dzieci, jesteśmy szczęśliwi, trwamy jako rodzina. Myślę, że przez takie codzienne życie możemy dawać świadectwo, także wśród ludzi z naszej branży, którzy nie decydują się na dzieci”...

Katoprątek sieje spustoszenie

Mało rodzin wielodzietnych w polskim filmie? Nieprawda. Polski film nie jest przesycony po kokardy katolicyzmem, i to sekciarskim. Ale ten wyszedł z TVP. Kilka wizyt w agencji scenariuszowej, agencji produkcji i łapało się prątki katola. Tym szybciej, im więcej się chciało grać... Co obecnie niesie nadzieję na wyleczenie, choć dla niektórych może być za późno. Buczowskiej o tyle żal, że jej choroba wydała się szczerą i mocną, a – co interesujące – nie wpłynęła negatywnie na jej aktorstwo.

Buczowska raz twierdzi, że przyływ wiary opanował ją w ciąży, raz, że w okresie intensywnych spotkań z religijnym szwagrem. Rzecz niewątpliwie musiała się pogłębić, kiedy grała w takim telewizyjnym badziewiu jak „Korona królów”. Ale, ale... kto nie moczył dzioba w tej polskiej telenoweli patriotycznej-histerycznej, niech pierwszy rzuci kamieniem. „Ogromne poczucie straty łączę z odejściem brata mojego męża, który chorował na raka. Ja nie byłam z nim bardzo blisko związana, nie byłam jego najbliższą rodziną, ale on przychodził do mnie i po prostu opowiadał mi o Panu Bogu. Prosił, żebyśmy się modlili, upewniał nas, że Bóg jest. Umawiał się z nami na konkretne modlitwy o konkretnych godzinach. Chciał, żebyśmy będąc w różnych miejscach, byli równocześnie razem. Odchodzenie Ignacego tak bardzo mną wstrząsnęło, że gdy umarł, popadłam w depresję, musiałam brać leki, nie byłam w stanie pracować. Kłóciłam się z Panem Bogiem i nie rozumiałam, jak mógł zabrać tak młodego przystojnego mężczyznę. Ale od tego momentu zaczę-

ło się moje nawrócenie. Po latach dowiedziałam się od teściowej, że Ignacy przed śmiercią ofiarował swoje cierpienie właśnie za nawrócenia w rodzinie”. Buczowska wystraszyła się śmierci – własnej, nie szwagra... A śmierć na raka bywa taka paskudna... Cóż, nie tylko jej to strach, ale strach nas wszystkich. Nie ona pierwsza i nie ona ostatnia wpadła w poszukiwaniu sensu w ramiona gipsowych figur kościelnych, a jeśli przy okazji uratowało to jej małżeństwo... Czy mamy tego dziewczynie żałować?

Obrośnięta w dewocję, rozkochany w Maryi

Cały ten lęk przed mrokiem, przed egzystencjalną pustką reżyser Dariusz Jabłoński wyciągnął z niej w „Zasadzie przyjemności”.

„Nie rozumiałem Małgosi. Byłem zły, że moja żona obrasta w dewocję” – to pierwsze wrażenie męża rzeczonoj i ojca trójki dzieciątek, którym podzielił się z czytelnikami „Małego Gościa Niedzielnego”. W końcu musi być z nią non stop, a nie tylko na planie.

Ksawery Szlenkier jest również aktorem. Znacznie mniej rozpoznawalnym niż żona. Może dlatego, że w „Koronie królów” grał Niemca Otto von Voughta. Nieschodzący mu z twarzy wyraz udręczenia zaowocował rolami w spektaklach Teatru Oratorium, takich jak: „Mój syn, Maksymilian”, „Sceny z Wieczernika”, „Historia o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”. A podejrzewamy, że rolę jego życia jest kreacja kardynała Stefana Wyszyńskiego w filmie „Wyszyński – zemsta czy przebaczenie” (2021). Zaprawdę powiadam Wam, większego gniotu trudno znaleźć... I pomyśleć, że facet całkiem nieźle zaczynał!

„Któregoś razu poprosiłam Maryję, żeby Ksawery się w niej rozkochał”... Ksawery się rozkochał w Maryi, co pozwoliło mu zostać w związku z Małgorzatą.

Okowy! Okowy! Okowy! Przystąpił do kółka różańcowego, wspólnie prowadzili teatralne zajęcia fakultatywne w liceum katolickim księży michalitów w Markach, a dalej już zacie... *Veritas liberabit vos* – jak chcą michalici – Prawda was wyzwoli...

WIKA WIERCIOCH

Na szczęście dla dyrektora PISF minister Sienkiewicz nie uważa kina za najważniejszą ze sztuk.

Budżet Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej to jakieś pół miliarda złotych. O te pieniądze idzie walka w środowisku filmowym. Polityczne miłości i nienawiści czy oskarżenia o stosowanie cenzury i wywieranie nacisków na twórców to tylko narzędzia do wskoczenia w fotel dyrektora rządzącego wielką kasą.

Pole dobrych min

„Pod apodyktycznymi rządami Radosława Śmigulskiego PISF całkowicie przestał wypełniać swoje fundamentalne zadania” – skrobnęli w liście do ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza reżyserzy, scenarzyści i aktorzy; łącznie ponad 5 tys. ludzi. Dyrektorowi PISF zarzucili zniszczenie struktury organizacyjnej instytutu, wieloletnie wypełnianie politycznej agendy nie-demokratycznego obozu politycznego, stosowanie cenzury, działania noszące znamiona mobbingu i zniszczenie mechanizmów kontrolnych. Lament ten ma spowodować „pilną interwencję w sprawie zapaści Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej”. Ta zaś spowodzić się ma do tego, że Sienkiewicz zrobi z PISF to co z TVR, Polskim Radiem i PAP – wywali jednych i wstawi drugich.

Radosława Śmigulskiego PiS obsadziło w 2017 r. po tym jak Gliński, po dwóch z pięciu lat kadencji, wywalił ze stanowiska peowską nominatkę Magdalenę Srokę. Sroka dała się więc poznać środowisku filmowemu na krótko, i to głównie tym, że przyprowadziła ze sobą do instytutu ludzi filmowcom nieznanych, ale za to z koneksjami politycznymi. Śmigulski – facet z kręgosłupem zbliżonym do Wiplera – mający pojęcie o filmie takie, jakie można mieć, będąc prezesem Totalizatora Sportowego, zrobił dokładnie to samo. Tyle że jego ekipę ułożono w PiS. Śmigulski błyskawicznie zorientował się w co wdepnął. Po kilku miesiącach zaczął więc prowadzić nader nietypową jak na czas rządów PiS politykę. Z jednej strony zbierał się z filmowcami, z drugiej – ograniczył wpływy tych, których mu PiS przydzielił, starał się też nie podłożyć Glińskiemu.

Stąpienie po linie wyszło mu na tyle, że w 2022 r. ponownie został dyrektorem PISF na pięcioletnią kadencję.

Na dodatek, gdy odchodził Gliński, zostawił dyrektorowi nową Radę PISF. O dziwo, większość w niej stanowią ludzie związani z Polsatem Solorza i Ilona Łepkowska.

Dziś więc Śmigulski może odpierać zarzuty oponentów, twierdząc, że nawet kontrola Naj-

ło wyklęte z oficjalnego języka) byłyby nie na miejscu. I nadal w wielu środowiskach jeszcze są, lecz powoli będziemy już powracać do normalności. W ramach jej awizowania

chciałbym już dziś podzielić się z wami niepoprawną politycznie uwagą, że strasznie mnie kręca czarne kobiety.

Oczywiście zgodnie z ortodoksją taka uwaga oznacza ślinienie się uprzywilejowanego białego dziadarsa (tutaj wołając na mnie „papa” – to jakoś milej), który rasistowsko fantazjuje o uległości kobiety należącej do jednej z grup etnicznych w ciągu długich wieków krzywdzonych przez europejskich najeźdźców i kolonizatorów. Niestety, ta interpretacja ma dwie wady. Po pierwsze wyraża się w niej uprzedzenie w stosunku do białych mężczyzn w średnim wieku, a po drugie jest po prostu fałszywa. I pewnie właśnie z tego powodu nikogo w Kenii nie urazi, gdy jako „papa” powiem, że podobają mi się czarne kobiety. Raczej spotkam się z aprobatą, bo kenijskim mężczyznom też się podobają czarne kobiety. Białe zresztą nie inaczej. Albowiem Kenijczycy są jurni.

Bardzo bym chciał dożyć jeszcze tego czasu, gdy wszystkie rasistowskie brednie i bałamutne sposoby ich zwalczania będą już tylko dalekim wspomnieniem. I mam na to szansę, bo w moim

Murzynek Hartman

ETYKA
BEZBOŻNA

Piszę do Was z dalekiej Kenii, gdzie bawię w charakterze, co tu dużo mówić, białego wczasowicza, wokół którego skaczą i dogadają mu czarńskorzy tubylcy. Czy coś powiedziałem nie tak? Może niepotrzebnie robię niefrasobliwą aluzję do czasów kolonialnych oraz poruszam kwestię różnicy koloru skóry? Ale czy to jest jakieś tabu? Mamy udawać, że wszyscy jesteśmy żółci w czerwone kropki i wcale się nie różnimy? A może nie należy używać słowa „tubylec”? Przecież o Polakach nikt nie powie, że są w Polsce „tubylcami”. Tyle że o Kenijczykach też już nikt tak nie powie, bo epoka kolonialna (kiedy kolonizatorzy dzielili świat na swoich, czyli białych, oraz autochtonów, czyli tubylców) jest już dawno za nami. W Kenii wszyscy się szanują i nie widać ani „pańskich gestów” białych, ani „wdrukowanej uniżoności” czarnych. W ogóle nikt o tym już nie myśli. Udało się! Nastąpiła epoka postrasistowska. Można więc nieco wyluzować i nie spinać się tak bardzo, gdy ktoś sobie żartuje, robiąc aluzję do słusznie minionych czasów. Po prostu w ten lekko autoironiczny sposób możemy wyrazić satysfakcję, że było i minęło.

Poprawność polityczna służy unikaniu wszelkich zadrzań i nieporozumień tam, gdzie dochodzi do napięć i dyskryminacji w relacjach między jakimiś grupami (np. większością a mniejszością, ludźmi dwóch konkurencyjnych względem siebie religii itd.) na jakimś tle (obyczajowym, religijnym, politycznym). Normy obyczajowe językowe stają się surowe i wykluczają wiele zwrotów, figur retorycznych (na czele z ironią), a w konsekwencji dochodzi nawet do cenzurowania wyrażanych publicznie poglądów. Bywa to uciążliwe, bałamutne i niesprawiedliwe, lecz na razie nic lepszego nie wymyślono, aby zagwarantować bezpieczeństwo i równe traktowanie przedstawicieli grup wrażliwych i kulturowo (historycznie) dyskryminowanych w przestrzeni publicznej i instytucjonalnej.

A jednak z natury rzeczy restrykcje i ograniczenia są tymczasowe. Gdy znika konflikt i dyskryminacja, cenzura może zostać zdjęta, a swoboda wypowiedzi, w tym również satyrycznej, może (i powinna) powrócić.

Jeszcze jakiś czas temu wszelkie dywagacje na temat różnic rasowych (nawet to słowo zosta-

Opowieść o nieprawdziwym pisowcu

wyższej Izby Kontroli zakończyła się dla instytutu pozytywną opinią. Żeby tam... „W ciągu przeszło sześciu lat mojej pracy w PISF najczęściej dotowanymi reżyserami były panie

Agnieszka Holland, Małgorzata Szumowska czy Kinga Dębska. Projekty zgłaszane przez wyżej wymienione twórczynie trudno nazwać częścią politycznej agendy PiS” –

mówi więc Śmigulski. No i dodaje, że mimo przyklejania mu geby zamordystycznego pisiora w ostatnich latach wsparcie instytutu dostało kilkanaście filmów o tematyce LGBT. Dyrektor broni się też tym, że jego instytucja dała szmalc na wywołujący wściekłość prawicy film „Biała odwaga” – o góralach, którzy za niemieckiej okupacji odkryli w sobie krew germańską. „Wystąpiłem w obronie wizji reżysera i twórców, narażając się na ataki ze strony choćby ówczesnego ministra Zbigniewa Ziobry” – opowiada Śmigulski o swojej martyrologii za dobrej zmiany. Ale to i tak nic, bo – jak twierdzi – „tacy twórcy jak Jakub Żulczyk, Maja Ostaszewska czy Maciej Stuhr, którzy wprost odrzucani byli przez władzę Zjednoczonej Prawicy, w kierowanym przeze mnie instytucie mogli znaleźć wsparcie dla swoich projektów”. I jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, Śmigulski ma rację. Dzięki jego lawirowaniu polskiej kinematografii krzywda się nie stała. A że część twórców była z decyzji instytutu niezadowolona, czyli miała dokładnie to samo co gdy instytutem rządziła Agnieszka Odorowicz czy Magdalena Sro-

ka? Ci, którzy nie wygrywają konkursów, zawsze mieli i będą mieć pretensje.

Lepiej już było

Przed koronawirusem polska kinematografia sięgnęła szczytów. Oscary, Cannes, nominacje i grubo ponad 5 mln widzów na „Klerze” Smarzowskiego. Na polskie filmy w 2018 r. bilety kupiło niemal 20 mln osób.

Covid pozamykał kina na prawie rok, co jednak nie przeszkadzało publicznie chodzić do kina na rodzime produkcje. W 2020 r. widownia na polskich filmach sięgnęła ponad 50 proc. ogółu wszystkich wyświetlanych w kinach filmów.

W pierwszym okresie pandemii wstrzymano ponad 180 polskich produkcji filmowych, w tym 69 filmów fabularnych, 51 seriali i 22 filmy dokumentalne. W marcu 2020 r. Śmigulski powołał zespół ds. kryzysu w branży kinematograficznej, złożony z przedstawicieli wszystkich gałęzi przemysłu filmowego. Nie on, ale twórcy szybko wypracowali zasady pomocy branży, która po pandemii miała dzięki nim wystrzelić. Wszystko

świecie, rozciągającym się od uniwersytetu aż po Afrykę Wschodnią, uprzedzenia rasowe nie są już w ogóle tematem. Dlatego mieszkańcom mojego świata nie przychodzi do głowy cenzurować Juliana Tuwima i wygumkować jego wierszyka „Murzynek Bambo”. Podejrzewam akurat Tuwima o rasizm jest czystym idiotyzmem, a wierszyk jest całkiem mądry. Jest w nim nawet mowa o czymś, co także jest dziś tabu, a mianowicie o dumie ze swojej tożsamości. Albowiem Bambo bał się, że od kąpielii się wybieli!

Ja nie jestem dumny ze swojej mączyściej białości, bo ten kolor skóry wydaje mi się jakiś ogołcający. Czerni ma za to w sobie coś z okrucia, bo przecież polega na pochłanianiu i nieodbijaniu światła. Osoba o czarnej skórze jest jak gdyby w nią spowita i w niej ukryta. W sumie wolałbym być czarny niż biały. Czy nasz rysownik sprostaa zadaniu i zdoła mnie sportretować z wersji negroidalnej?

W świecie, na który czekamy, czyli w świecie ludzi inteligentnych, wolnych i do nikogo nieuprzedzonych, takie uwagi, jakie mogłicie przeczytać powyżej, będą czymś całkowicie neutralnym. Tak jak dziś żadnych emocji nie wzbudza czyjaś enuncjacja, iż wolałby (wolałaby) mieć jaśniejsze włosy albo być kilka centymetrów wyższy. Niestety, na razie jeszcze skóra pozostaje organem niewralgicznym, a jej kolor wciąż jest politycznym tabu. To jednakże tylko kwestia czasu. Pośród wielu porażek i klęsk naszego świata to jedno możemy sobie zapisać na plus: na całym świecie normalni i przyzwoici ludzie całkowicie wyrzekli się rasizmu, który już na zawsze stał się domeną idiotów.

JAN HARTMAN



Rys. BARTŁOJEWI BELNIAK

zostało zaakceptowane przez ministerstwo kultury, które jednak kasy nie dało. PiS płaciło za filmy historyczne – ale wcale nie z budżetu PISF, lecz ze spółek skarbu państwa i kurskiej TVP. Za pieniądze z instytutu powstawały tymczasem filmy nieszczególnie oglądane.

„Pobudzająca wrażliwość opowieść o chłopcu, który musi stawić czoła trudnym tematami, dzięki czemu robi wielki krok w dorastanie” z 2022 r. o tytule „Za duży na bajki” wyciągnęła do kin 180 tys. widzów. Dużo, bo „osadzona we współczesnej Warszawie, słodko-gorzka historia o poszukiwaniu własnej tożsamości” nosząca nazwę „Piosenki o miłości” nie dobiła do 40 tys. widzów.

„Krim Story. Love story” miała być – według zapowiedzi twórców – „komedią gangsterską inspirowaną prawdziwymi wydarzeniami, opisaną w książce rapera Marcina „Kali” Gutkowskiego, taką współczesną ekranizacją „Romea i Julii”. Ani raper, ani autentyzm, ani nawet Szekspir nie nagonili widzów. Film zszedł z ekranów z godnym kin studyjnych wynikiem 162 tys. widzów.

„Iwona jest znudzoną i nieszczęśliwą żoną Maćka, żyjącą w luksusie na kredyt. Kamil ma 32 lata, seksowną dziewczynę Anecję, ale wciąż mieszka z matką na blokowisku, snując wizje kariery rapera i łapiąc przypadkowe fuchy” – taka zawawka filmu „Inni ludzie” dała filmowi publiczność liczącą ledwie 62 tys. widzów, ale aż 1,5 mln zł dotacji z PISF.

„Mój dług” był o tym, że bohater „Długu” Krauzego stara się o ułaskawienie. Dla PiS powinien być więc wart każdych pieniędzy. Nie był. PISF wnioszek o kasę wysłał na drzewo, a na półście do kina dało się skusić niecałe 40 tys. ludzi.

Reżyserzy, którzy pracowali dla TVP, o kasę na filmy nie musieli zebrać w PISF; dostawali ją od Kurskiego. Nie musieli też się starać, by szmalc na film się zwrócił. Stąd „poruszająca, autentyczna historia muzyka Grzegorza Płonki z Murzasichla. Pokazująca niesamowitą, okupioną ogromnym wysiłkiem i walką drogę do osiągnięcia niemożliwego” nosząca tytuł „Sonata” nie osiągnęła nawet 10 tys. widzów. Ale nieoprocentowaną pożyczkę na produkcję w wysokości 92 003 zł, uzyskaną z PISF w ramach „przeciwdziałania skutkom COVID-19 w produkcji filmowej”, producenci zwrócili.

Kiedy na Walentynki 2020 r. do kin wchodził kit paraerotyczny hit „365 dni” w reżyserii Barbary Białowas, w pierwszy weekend wyświetlania poszło nań ponad 400 tys. ludzi. Gdy dwa lata później w kinach pojawił się film TVP „Miłość jest blisko”, w walentynkowy weekend wybrało się na niego dziesięć razy mniej zakonanych. Schodząc z ekranów, nieodległa miłość miała publiczność ledwie stu tysięcy – co jak na komercyjny chłam z etykietką komedii romantycznej było bardziej niż kląpą.

Orły, orlęta, Polański, Dębska

Jeszcze większą katastrofą okazało się kino historyczne. A miało wszak być sztafndarem

pisowskiej kinematografii. Wyprodukowany przez TVP i przez nią dystrybuowany „Marzec 68” miał na otwarciu ledwie 22 tys. widzów i po trzech tygodniach kina pozbyły się go z repertuaru, bo uzyskał oglądalność na śmiesznym poziomie 45 tys. widzów.

„Orzeł. Ostatni patrol” miał 18 tys. widzów na starcie, a „Orlęta. Grodno '39” raptem 22 tys. Nawet w porównaniu z 34 tys. widzów w pierwszym weekendzie wyświetlania bajki o siostrze Faustynie, zatytułowanej egzaltowanie „Miłość i Miłosierdzie”, bohaterowie II wojny światowej mocno przegrywali.

Wynik frekwencyjny pierwszego weekendu „Raportu Pileckiego”, filmu z budżetem 38 mln zł, do którego PISF dołożył tylko bańkę, pokazał, że na film pobiegła ledwie połowa członków PiS. Widzów było 23 112. Jego żywot kinowy skończył się wynikiem niecałych 150 tys., i to mimo obligatoryjnych w wielu szkołach seansów dla uczniów. To mniej więcej tytułu widzów, ilu obejrzało w ciągu pierwszych trzech dni wyświetlania niefinansowaną przez PISF „Zieloną granicę” Agnieszki Holland. Niefinansowaną, bo Holland poszła do PISF po jakieś zaświadczenie, mając spięty budżet filmu. Śmigulski o tym – po pierwsze – wiedział, a po drugie, wiedząc, co wygaduje o filmie Holland, nie chciał się głupio podkładać PiS i kwitu nie wystawił. Reżyserka i dyrektor wymienili w mediach kilka mocnych zwrotów pod swoim adresem i każde wyszło z pseudo-utarczki zadowolone.

Generalnie jednak w większość produkcyjniaków historycznych Instytut Śmigulskiego nie wchodził albo wchodził na tyle symbolicznie, żeby ukochani przez PiS twórcy się nie czepiali.

Na inne produkcje PISF pieniądze nie żałował i efekty już są. „Akademia Pana Kleksa” dostała od PISF 3 mln zł, a jej widownia dobija do 3 mln widzów. „Chłopi” otrzymali 4 mln zł – obejrzało ich około 2 mln ludzi. Niezły wynik zapowiadają dotowani przez PISF nowi „Sami swoi”, których weekend otwarcia to 225 tys. widzów. Strach trochę się bać o superprodukcję za 33 mln zł „Czerwone maki”, bo reżyser ten sam co w Pileckim, ale za to gra tam pokochany za „1670” Bartłomiej Topa. Instytut Śmigulskiego dał na film o Monte Cassino 6 mln zł. Premiera w kwietniu.

Balansowanie PISF i jego dyrektora to 6 mln złotych na „Drogę do domu” zafiksowanej pisowsko Ewy Stankiewicz i 5 mln zł dla „Królowej” nieznanego nikomu Michała Muzyczuka, autora takich hitów jak „Krzyż i karabin” oraz „Modlitwa o Polskę – z ziemi podlaskiej”. A z drugiej strony – 4 mln zł na nowy film Romana Polańskiego „The Palace” oraz odległa od szuflad politycznych Kinga Dębska, której instytut dał 4 mln złotych na produkcję „Święto ognia”. Nawet Wojciech Smarzowski załapał się w zarządzanym przez Śmigulskiego PISF na dofinansowanie filmu „Dom dobry” milionem złotych.

TADEUSZ JASIŃSKI



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przepis na bohatera

Druhowie Wałęsy oskarżeni o poświadczenie nieprawdy i pomoc w wyłudzeniu świadczeń. Mamy już pierwszy proces.

Jeden senior zapewnia wnuki, że wpływ przepłynął ocean, drugi – że zabił smoka. Czy za pudrowanie własnej przeszłości można dziś iść za kratki? Jeśli w wyobraźni walczyłeś z Atlantykiem albo smokiem – nie. Jeśli z komunistami...

Księgowa

Jedyne, co w historii Władysławy W. jest pewne, to że w 1990 r. dostała posadę księgowej Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Olsztynie. To była dobra robota, więc znajomi mówili, że musi znać przewodniczącego albo kogoś z zarządu. Region Solidarności miał wtedy podobne znaczenie jak komitet wojewódzki nieboszczki PZPR. Wystarczył telefon i państwowi urzędnicy robili to, czego oczekiwała siła przewodnia.

Potem znaczenie Solidarności zmalało, a pobory przestały cieszyć. Władysława zmieniła pracę.

Biesiady

PRL była państwem autorytarnym. Ci, którzy walczyli z układem, wiedzieli, że nie będą przez niego nagradzani. Nikt nie liczył na medale, premie, awanse. Raczej rewizję w chałupie i miejscówkę na dołku.

W 1991 r. sejm uznał, że nowa Polska musi zapewnić tym ludziom szacunek. Widać było z tym różnie, bo zdecydowano się na rozwiązanie instytucjonalne. Peerelowski Urząd ds. Kombatantów dostał nowe zadania; powstał Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, który dodatkowo miał „upowszechniać tradycje walk o suwerenność i niepodległość Polski”.

Kolejne ustawy pozwoliły na materialne rekompensowanie krzywd. Okazało się, że Solidarność to nie to samo co zwykła ludzka solidarność, która każe po równo dzielić się biedą. Najważniejsza jest tu ustawa z 2015 r. o „działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych”.

Bohaterowie nie musieli już iść do sądu, żeby dostać kasę. Co miesiąc miał wpływać na konto stosowny dodatek. A jeśli kombatant był w potrzebie, wystarczyło złożyć wniosek o dodatkowy szmal.

Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych ma też inne cenne kompetencje. Czują nad prezydentem, żeby przyznawał medale właściwym bohaterom. Popycha wnioski na stopnie oficerskie, bo osoby szczególnie zasłużone w walce o niezależność RP mają speckolejkę.

Ma coś dla ciała i coś dla ducha. W urzędzie funkcjonuje Departament Uroczystości, organizujący wieczory i biesiady pamięci.

Bufet

Władysława przypomniła sobie, że walczyła z PRL.

– W banku, w którym pracowałam, była hala maszyn, maszynistki pisały tam wyciągi bankowe. Dawaliśmy im ulotki do przepisywania. Było to 20–30 sztuk. Następnie ulotki były wkładane do korespondencji bankowej kierowanej do zakładów pracy, w których poprzednio była Komisja Zakładowa „S” – oświadczyła nagle. – Naszym zadaniem było obserwowanie, jakie samochody przyjeżdżają do KW PZPR, czy ktoś ze związkowców tam przyjeździe, bo okna banku wychodziły na ten gmach. Chodziłyśmy do KW PZPR do bufetu i zostawiałyśmy ulotki tam i w toalecie – dodała. – U drukarza zawsze byliśmy w nocy. Uchyłało się z tyłu drzwi, wrzucałam paczkę z papierem maszynowym, kalką, tuszem. Wynosiłyśmy to nielegalnie z banku...

Czy komuniści zauważyli dywersję? Jasne. Co zrobili? Nic. No, prawie nic.

– Z powodu tej działalności nie dostawałyśmy w banku awansów i nagród, ja nie dostałam zgody na studia zaoczne. Trzy razy byłam przesłuchiwana – poskarżyła się Władysława (za olsztyńskim miesięcznikiem „Debata” z 19 grudnia 2020 r.).

Ulotki

Ustawa z 2015 r. jasno określa, w jaki sposób zostaje się działaczem opozycji antykomunistycznej. Trzeba mieć stosowną przeszłość i złożyć wniosek. Najlepiej, jak twoje nazwisko jest w rejestrze Instytutu Pamięci Narodowej.

Nazwiska Władysławy w IPN nie ma. Co robić? Uderzyła do znajomych z Zarządu Regionu „Solidarności”.

Andrzej G. założył Solidarność w PKP. Był internowany.

– Władzię poznałem w 1990 r., byłem wtedy członkiem wojewódzkiego prezydium związku – pamięta. Czwierć wieku później kupiła dom w jego sąsiedztwie.

LEGENDY SOLIDARNOŚCI NIGDY NIE WIDZIAŁEŚ?



– Jaki świat jest mały – zagadła, kiedy przez przypadek wpadli na siebie. Podczas spotkań w piekarni nawiązywała do przeszłości. – Jak odbierałam od ciebie ulotki... – przypomniła.

– No ode mnie nie odbierałaś. Pewnie od drukarzy? – zasugerował.

Wiesław B. był skarbnikiem Solidarności w czasach, kiedy związek się tworzył. Przesiedział rok w internacie. Od 1986 r. organizował jawne struktury Solidarności. Potem szefował Miejskiemu Komitetowi Obywatelskiemu. Na koniec został wojewódzkim przewodniczącym Solidarności. Władysławę poznał w 1990 r., kiedy ją zatrudnił. Często mu opowiadała, że w przeszłości pomagała internowanym, przemawiała na wiecach, te rzeczy.

– Nie pamiętam – przecierał czoło.

– Jak to nie pamiętasz? – pytała. – Dla ciebie też zbierałam pieniądze.

Obaj panowie podpisali podsunęte oświadczenia. Wiesław B. nie czytał dokumentu, który parafował.

– To była kwestia zaufania – wyjaśnił.

Inny świadek poznał Władysławę na spotkaniu zorganizowanym przez wiceprzewodniczącego Solidarności. Gospodarz podpisał oświadczenie o jej kombatancie, podpisał kartkę, głupio było odmówić. Poświadczył nieprawdę? Nie. Mógł nie znać wszystkich działaczy. Minęło 30 lat...

Drukacz też podpisał, jak kobieta podsunęła mu pod nos papier, bo sądził, że chodzi o to, że drukował ulotki, a nie, że Władysława je nosiła.

Geny

Wnioski o przyznanie statusu kombatanta rozpatruje Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Jego szefem jest Jan Józef Kasprzyk. Nie walczył w komunę tylko dlatego, że urodził się za późno. Ma dobre geny, bo pochodzi z rodziny o tradycjach wolnościowych. To wszystko zauważył prezydent Lech Kaczyński i ozdobił jego pierś Krzyżem Zasługi. Kolejnych medali nie wymieniam, bo nie płacą mi od słowa.

Jak zabrakłoby kombatantów, trzeba byłoby zamknąć urząd. Wniosek Władysławy przyjęto więc życzliwie. Ponieważ IPN o niej nie słyszał, Kasprzyk zwrócił się o opinię do Wojewódzkiej Rady Konsultacyjnej ds. Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych w Olsztynie.

Komisji szefuje były mechanik Władysław Kałudziński. Zyciorys ma chłop w porządku: był internowany i pobity. Za to charakter ciężki. Przypomnił sobie, że na pogrzebie studenta Marcina Antonowicza w listopadzie 1985 r. tylko on i Ryszard Kułakowski zgodzili się nieść wieniec Solidarności. Nikt nie chciał trzymać transparentu z napisem „Boże błogosław Solidarność” podczas uroczystej mszy. Gdzie wtedy była Władysława, ha?

Kałudziński i spółka napisali Kasprzykowi, że negatywnie opiniują nadanie Władysławie statusu kombatantki. Jej z nimi nie było, ot co.

Danuta Gulko to kolejna osoba z mocnym życiorysem: zwalniana z pracy, rozpracowywana przez SB, skazana na trzy i pół roku więzienia za działalność opozycyjną. Nie lubi śpiewać w chórze.

Z tytułem kombatanta łączą się przywileje w kolejkach do lekarzy, dodatek kombatantki w wysokości 294,39 zł miesięcznie, dodatek kompensacyjny w wysokości 44,16 zł. Ofiary represji mają możliwość ubiegania się o dodatkową kasę. Warunek jest jeden: dochód osoby samotnie gospodarującej nie może przekraczać 290 proc. najniższej emerytury. Czyli trzeba mieć mniej niż 4606 zł. Jeśli wnioskodawca jest inwalidą wojennym albo osobą niezdolną do samodzielnej egzystencji, rozmawiamy o zasiłku w wysokości 350 proc. emerytury. Jeśli chce dostosować mieszkanie do potrzeb związanych z niepełnosprawnością, 450 proc.

Może też dostać kroplówkę wdowa lub wdowiec po kombatancie czy ofierze represji.

Można dopaść cyca dwa razy w ciągu roku. Albo przysnąć się do kroplówki na pół roku, uwaga, przed następną dawką konieczna jest półroczna przerwa. Wystarczy złożyć wniosek.

Zamiast przysłużyć się Władysławie, oznajmiła, że w Olsztynie dziesięć osób pracowało na rzecz Solidarności i nowej Polski. I ta garstka dobrze się znała. Władysława? Kto to jest?

Jeśli uwierzyć Gulce i Kałudzińskiemu, można dojść do wniosku, że w Polsce walczyło o zmiany z 1000 osób. Tymczasem urząd nadał 15 tysiącom Polaków status działacza antykomunistycznego. To nie koniec. Kasprzyk zachęca, żeby zgłaszali się wszyscy, którzy spełniają kryteria, drzwi są szeroko otwarte. Interes wyczuły kancelarie prawne. Są takie, które się w tym specjalizują.

Kończąc opowieść o Władysławie: mimo negatywnej opinii z Olsztyna Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych przyznał kobiecie status działaczki antykomunistycznej, represjonowanej w latach 80. XX w.

Żona

W Olsztynie solidarni ruszyli na solidarnych. Odpytano Władysławę: jak to możliwe, że internowani nie wiedzą, że istniała?

– Z osobami internowanymi nie chcieliśmy mieć po ich wyjściu do czynienia, bo żeśmy się bali, czy nie zdradzili podczas internowania – wyjaśniła.

Zresztą internowanie to żaden powód do chwały.

– Oni dali się internować i na tym ich wkład się skończył. Oni siedzieli, a myśmy zbierali pieniądze, żeby ich ratować...

Rada Konsultacyjna kierowana przez Kałudzińskiego to też nie autorytet.

–Tylko między siebie rozdzielają order, nawet żona Kałudzińskiego dostała odznaczenie. Ja się pytam: za co? – oburzała się Władysława w miesięczniku „Debata”.

Zrobiło się tak niemiło, że sprawą zajął się prokurator. Oceniał, że Władysława nie spełniała żadnego kryterium ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej. Główna oskarżona odpowiada z art. 286 par. 1 kk („kto w celu osiągnięcia korzyści majątkowej...” w zbiegu z kilkoma innymi. Fałszywe zeznania, poświadczenie nieprawdy, te rzeczy. Grozi jej do ośmiu lat więzienia. Na ławie oskarżonych towarzyszą jej fiske Solidarności.

BOŻENA DUNAT

Pan Tomasz spod Piły trzymał na swojej posesji 31 samochodów, których część należała do znajomych. Auta były sprowadzone z zagranicy i czekały na remont. Nie doczekały. Na podwórko weszli inspektorzy Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska z funkcjonariuszami służby celno-skarbowej oraz Centralnego Laboratorium Badawczego. Otwierali wszystkie samochody i robili zdjęcia, po czym poszli. Po kilku dniach przysłali informację, że pan Tomasz został ukarany grzywną w wysokości 180 tys. zł. Został bowiem uznany „za odbiorcę odpadów niebezpiecznych w postaci 18 szt. pojazdów wycofanych z eksploatacji”. I tak miał szczęście, bo za składowanie u siebie odpadów można otrzymać karę administracyjną do 1 mln zł.

Prawo do własności oraz ochronę własności, także nieruchomości, mamy zagwarantowane w konstytucji. Czyli jeśli jesteś czegoś właścicielem, możesz z tego korzystać, na tym zarabiać i się tym posługiwać, a nawet tym rozporządzać i nikomu nic do tego. Pan Tomasz tak sądził i się mylił. Po trzydziestu kilku latach kapitalizmu święte prawo własności się zsekularyzowało.

Z klatki na balkon

Dwie panie z Białegostoku, mające własnościowe spółdzielcze prawo do 48-metrowego mieszkania w bloku, sądziły, że mogą mieszkaniem dysponować, jak chcą. Sąsiedzi paniom taki pogląd z głów wybili. Składali skargi na warunki higieniczne i sanitarne, donosząc, że jedna z pań zносиła do mieszkania różne rzeczy, również ze śmietników. Głównie jednak czepili się tego, że pani ta miała epizody leczenia psychiatrycznego. Gdy przyszło do sprawy sądowej, okazało się, że w mieszkaniu nie było żadnych śmieci. Sąsiedzi szukali dalej i ustalili, że panie nie wypuszczały do mieszkania kominiarzy i gazowników. To sądowi wystarczyło. Kobiety zostały wyrokiem zmuszone do sprzedania swojej mieszkaniowej własności. Sędzia uznała tak z powodu „niezezwalania administracji na przeprowadzenie obowiązkowych przeglądów instalacji [...]”, co grozi niebezpieczeństwem dla pozostałych mieszkańców bloku”.

Państwu z Łodzi wydawało się, że prawo do bycia właścicielem zwierzaka nie jest limitowane. W bloku, w mieszkaniu, którego również byli właścicielami, trzymali ich 20. O dziwo, sąsiadom to nie przeszkadzało. Niestety do mieszkania kiedyś przez pomyłkę zapukali policjanci łaknący sukcesu zawodowego. Otwarcie drzwi gliniarzom skończyło się więc oskarżeniem o znęcanie się nad zwierzętami. Na dodatek policja ciągnęła strażaków, aby uznali, że sterty walających

Dzieci

Radujmy się! Przy USA jesteśmy krainą postępu.

Na pocieszenie wszystkim, którzy sądzą, że zmiany obyczajowe w nowej niepisowskiej Polsce postępują za wolno: przynajmniej mierzymy we właściwym kierunku. Kiedy w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej znany z dewocji prezydent podpisuje ustawę o finansowaniu in vitro z budżetu państwa – w USA sąd uznaje zamrożone zarodki za człowieka, samorządząc procedury in vitro w całym stanie Alabamy.

Stłuczenie małoletniego

W latach 2013–2016 trzy pary z Alabamy – Emily i James LePage, Caroline i William Tripp Fonde, oraz Felicia Burdick-Aysenne i Scott Aysenne – przeszły procedurę in vitro w lokalnym Centrum Medycyny Reprodukcyjnej. Zgodnie z zasadami sztuki część utworzonych pozaustrojowo zarodków została zamrożona i umieszczona w lodówce zwanej „kriogenicznym żłobkiem”, gdzie miały być przechowywane „na czas nieokreślony”. W grudniu 2020 r. niewymieniona z nazwiska pacjentka centrum zapętała się do żłobkowej chłodni, zdołała otwo-

Własność bogatych jest w Polsce ważniejsza niż żałosny dorobek biednych.

Co je czyje

się po mieszkaniu śmieci stanowią powszechne zagrożenie pożarowe. Państwo z Łodzi teraz wie, że nie można być właścicielem większej liczby zwierząt, a korzystać z własnego mieszkania należy tylko w taki sposób, jaki spодoba się policji. Nie ma co prawda przepisów, które zabraniałyby trzymania śmieci w mieszkaniu, a łatwopalne są nawet meble, o zasłonach i firankach nie wspominając. Ale jeśli kogoś nie stać na dobrego adwokata, to się tego nie dowie.

Klatki bloków pełne są mających swoich właścicieli rowerów, wózków dziecięcych czy donic z kwiatami. Tymczasem trzymanie czegośkolwiek na – stanowiącym wspólną własność, za którą się płaci – korytarzu jest zakazane. Bo korytarz służy do ewakuacji. Tak powie przedstawiciel prawa w chwili wypisywania mandatu. Wynika to zresztą z rozporządzenia o ochronie przeciwpożarowej budynków. Z reguły jednak na klatkach żadne sprzęty w przemieszczaniu się nie przeszkadzają, bo ludzie ustawiają je gdzieś po kątach, pod schodami albo na końcach korytarzy, gdzie nie ma drzwi do mieszkań. Jeśli jednak ktoś jest za biedny na papugę w sądzie, to za widzi misię funkcjonariuszy płaci.

Tak samo jak mandaty i grzywny za nieobyczajne zachowanie, czyli łożenie nago po mieszkaniu bez zaciągniętych rolet lub głośne uprawianie seksu.

Grzywnę można zapłacić też za montaż klimatyzacji na zewnątrz mieszkania, zamontowanie siatek ochronnych lub anteny na balkonie. Kij jest i nazywa się „ingerencja w elewację budynku lub w jego estetykę”. Chyba że się ma adwokata, który podpowie, że klimatyzacja jest niezbędna dla alergika, a alergię ma każdy, siatka zaś wynika z dbałości o życie dzieci i co z tego, że nie ma się własnych, skoro mogą nas odwiedzać znajomi dzieci mający.

Wolnym kroczkiem przez ogródek

Każdy, komu wydaje się, że bycie właścicielem zdechłego psa oraz posesji



z ogrodem pozwoli na zaoszczędzeniu kasy na pochówek zwłok zwierzątka, jest w błędzie. Własnego trawnika nie wolno bowiem użyć poprzez zakopanie pod nim zwłok pod groźbą wysokiej grzywny. Bycie właścicielem nakazuje więc zdechłego psa, czy nawet kota, zawieźć do weterynarza i zapłacić za jego utylizację. Dokładnie tak samo jest, gdy zemrze żona czy teściowa. Zamiast pochować ją przy ulubionej gruszy, trzeba wykupić miejsce na cmentarzu i zapłacić dziwnym ludziom za pogrzeb.

Ognisko czy grilla można w swoim ogrodzie palić pod warunkiem wszakże, że się nie dymi. Dym ściąganie sąsiadów, a ci policję i mandat za przeszkadzanie

sąsiadom gotowy. Liści i gałązek z własnych drzew we własnym ognisku na terenie własnego ogródka palić nie wolno. Zabrania tego ustawa śmieciowa, która jednocześnie zezwala, aby liście i gałązki wsadzić do kompostownika i zrobić z nich nawóz. Z kompostownika jednak wali smrodem niczym z gnojownika, co przecież wypełnia znamiona paragrafu o uprzykrzaniu życia sąsiadom.

Bo dym i smród to immisja sąsiedzka – znaczy bezpośrednie, karalne ingerowanie w cudzą nieruchomość. Takie jak sadzenie wysokich drzew tuż przy granicy działki, emisja dymu, pyłu albo hałasu, a nawet zakłócanie odbioru telewizji lub radia.

Prawo dzieli immisje na materialne i niematerialne. Do tych pierwszych należy przenikanie na sąsiednie nieruchomości cząsteczek spalin, cieczy, zapachów albo też fal, dźwięków i wstrząsów. Ale immisją materialną jest też przełazanie na sąsiednie posiadłości na przykład gołębi, pszczoł czy innych zwierząt.

Immisje niematerialne są to sytuacje wywołujące odczucia lęku, zagrożenia, rozdrażnienia, niepokoju, odrazy, a nawet dyskomfortu powodowanego działaniem sąsiadów sprzecznym z powszechnie uznawaną moralnością. Cokolwiek zatem zrobimy na własnej działce, może być wykorzystane przez sąsiada w sądzie przeciwko nam.

Prywatna własność posesji, na której stoi dom jednorodzinny, z normalnym pojmowaniem własności nie ma nic wspólnego. Nie wolno we własnym piecu palić, czym się chce, tylko tym, co państwo zaakceptowało i obłożyło podatkami. Nawet nago we własnym domku nie można chodzić, bo z powodu sąsiedzkiego zakazu sadzenia roślinności nic nie zasłania okiem, więc goły tyłek budzić może obrazę moralności. Jeśli jednak ma się działkę z drzewem, które może się w każdej chwili zwalić na chałupę, to takiego własnego drzewa nie wolno nawet dotknąć piłą czy siekierą.

We własnym domu, we własnej domniczej prawo zabrania trzymania niektórych roślin, z marihuany na czele. We własnym domu, na własnym sprzęcie grającym nie można słuchać, jak się chce, niczego, bo sąsiad może wezwać policję i stwierdzić, że jest to za głośno. Własny pies też ma stulić pysk, a koguty pozamykać dzioby.

Własny samochód ma wyglądać jak z fabryki, bo za rdzę lub brud można dostać mandat. Natomiast samochodu takiego, nawet jak się ma własną posesję, nie wolno na niej umyć.

Najśmieszniejsze, że za niemal wszystko, czego jesteśmy właścicielami, płacimy podatki i jak nie mamy pieniędzy, to własnych emocji też nie wolno nam wykrzyczeć. Artykuł 51. kodeksu wykroczeń stanowi przecież: „Kto krzykiem, hałasem, alarmem lub innym wybrykiem zakłóca spókoj, porządek publiczny, spoczynek nocny albo wywołuje zgorzosenie w miejscu publicznym, podlega karze aresztu, ograniczenia wolności albo grzywny”.

Kto bogatemu?

Zupełnie inaczej ma właściciel dysponujący milionami. Swoją hacjendę obsadza, czym chce, bo jego prawnicy załatwili stosowne papiery poświadczające, że posadzone rośliny to specjalna hodowla. I nawet jak plot z tui jeszcze nie wyrośnie, to bogacz może chodzić po swoich włościach nago, a nawet uprawiać na nich seks.

Tak jak bogaty jegomość spod Warszawy, co do którego bezpruderyjności starał się przyczepić mieszkaniec sąsiedniej posesji.

Zrobił gołemu sąsiadowi kilka fotek i filmików i złożył doniesienie. Skończyło się na tym, że purytynin został w sądzie stalkerem.

Bogaty gołas poszczuła na niego swoich prawników i okazało się, że donosićlel uciążliwie szpiegował i nagrywał sąsiada, co gołasowi obniżało poziom dobrostanu. Oczywiście stalker zapłaci też prawnikom gołasa plus odszkodowanie i zadośćuczynienie.

Gdyby opisywany na początku pan Tomasz był bogaty, to jego prawnicy roznieśli by zarzuty inspektorów twierdzeniem, że właściciel rupieci samochodowych jest ich kolekcjonerem, w związku z czym o żadnych odpadach nie może być mowy.

Jeśli się ma kasę, to nawet oblić bycia pochowanym na cmentarzu ma się gdzieś. Jak w przypadku śmierci równie znanego, co bogatego producenta filmowego. Urnę złożono na terenie należącej do jego rodziny posiadłości na Mazurach. Przyczepił się sanepid i wysłał na grób powiatowego inspektora budowlanego. Ten zaś spowodował, że do sądu trafiło zawiadomienie o możliwości popełnienia wykroczenia „w związku z pochówkiem poza obrębem cmentarza”.

O popełnienie wykroczenia oskarżono wujaka nieżywego mającego producenta, który był również mistrzem ceremonii pogrzebowej, a rodzina upoważniła go do przeprowadzenia pochówku. Po procesie wyszło na to, że w kraju, gdzie przepisy cmentarne są jednymi z najbardziej konserwatywnych na świecie, wuj producenta nie został w żaden sposób ukarany. Bo choć groby mogą znajdować się jedynie w obrębie cmentarzy, a miejsce pochówku producenta w świetle prawa nie zostało uznane za katakumbę, to – zdaniem sądu – jego grób nie naruszył żadnych innych przepisów i nie miał wpływu na środowisko.

TADEUSZ JASIŃSKI

nienarodzone pozamaciczne

rzyć komorę kriogeniczną i wyciągnąć kilka fiolek z zarodkami. Lodowate szkło ją sparzyło i upuściła fiołki, które się stłukły. Dawcy komórek i właściciele embrionów, jak to w Ameryce bywa, dostrzegli szansę na proces i odszkodowanie, co wydaje się dość zasadnym postulatem: centrum zawarło z nimi kontrakt, wzięło pieniądze za przechowywanie zarodków, których nie dopilnowało w wyniku zaniedbania.

Atoli prawo stanu Alabama zabrania finansowego odszkodowania za utratę życia ludzkiego, które jest wszak święte, toteż nie można go przeliczać na kasę. Wobec czego trzy pary, zamiast skarżyć szpital o niedotrzymanie warunków kontraktu – i dochodzić odszkodowania za zniszczone embriony – oskarżyły centrum o „spowodowanie śmierci małoletniego dziecka”. W pierwszej instancji sędzia Jill Parrish Phillips z 13. okręgu sądowego stanu Alabama uznała, dość racjonalnie, że zamrożony zarodek nie jest dzieckiem, i odrzuciła wnioski. Sąd najwyższy stanu Alabama ma jednak inne zdanie. Stosunkiem głosów 8:1 unieważnił wyrok sądu okręgowego, stwierdzając, iż „dziecko nienarodzone” podpada pod definicję „dziecka niepełnoletniego”, a zamrożony zarodek na szklanej płytce jest właśnie dzieckiem nienarodzonym, tyle że „pozamacicznym”.

Gniew świętego Boga

Sentencja wyroku wprowiła by w podziw nawet prawników Ordo Iuris.

„Uznanie przez konstytucję stanu Alabama, że życie ludzkie jest darem od Boga, podkreśla fundamentalną zasadę angielskiego prawa zwyczajowego, która została wyraźnie włączona do prawa stanu Alabama” – rozpoczął swój wywód sędzia Tom Parker. „Zasada, że życie ludzkie zasadniczo różni się od innych form życia i nie może być celowo odbierane bez uzasadnienia, ma głębokie korzenie, które sięgają stworzenia człowieka» na obraz Boga», Księga Rodzaju 1:27”; „doktryna świętości życia jest zakorzeniona w szóstym przykazaniu: »Nie zabijaj«, Księga Wyjścia 20:13”.

Swoją teokratyczny wywód sędzia podsumował: „Teologiczny pogląd na świętość życia przyjęty przez lud Alabamy obejmuje następujące elementy: (1) Bóg stworzył każdą osobę na swoje podobieństwo; (2) każda osoba ma wartość, która znacznie przekracza ludzkie możliwości obliczeniowe; oraz (3) życie ludzkie nie może zostać bezprawnie zniszczone bez narażenia się na gniew świętego Boga, który postrzega zniszczenie swojego obrazu jako obrazę dla siebie. Jest to prawdą w odniesieniu do nienarodzonego życia ludzkiego w nie mniejszym stopniu niż w odniesieniu do każdego innego życia ludzkiego”, gdyż „nawet przed narodzinami wszystkie istoty ludzkie noszą obraz Boga, a ich życie nie może zostać zniszczone bez obrażenia Jego chwały. Wierzmy, że każda istota ludzka od momentu poczęcia jest stworzona na obraz Boga, stworzona przez Niego, aby odzwierciedlać Jego podobieństwo. To tak, jakby mieszkańcy Alabamy

wzięli słowa proroka Jeremiasza i zastosowali je do każdej nienarodzonej osoby w tym stanie: »Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię, nim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię», Jeremiasz 1:5. Wszystkie trzy władze podlegające konstytucyjnemu nakazowi traktowania każdego nienarodzonego życia ludzkiego z szacunkiem. Uczynienie w tym przypadku wyjątku dla ludzi tak małych byłoby nie do przyjęcia dla ludu tego stanu, który wymaga od nas traktowania każdej istoty ludzkiej zgodnie z bojaźnią świętego Boga, który stworzył ją na swoje podobieństwo”...

Krzyk mrożonych zygot uciół

Strzelista dewocja sędziego zawarta w sentencji wyroku ma dosłowny wpływ na życie mieszkańców Alabamy. Najpierw szpital uniwersytecki w Birmingham, a później inne kliniki – w tym inkryminowane Centrum Medycyny Reprodukcyjnej – ogłosiły, że wstrzymują przeprowadzanie zapłodnienia pozaustrojowego na czas analizy prawnej wyroku. Szpitale boją się, że lekarze i pacjenci mogą stanąć przed sądem oskarżenia o dzieciobójstwo, jeśli z jakichkolwiek przyczyn którykolwiek z wytworzonych w procedurze in vitro zarodków nie trafi do macicy. Jak chociażby wtedy, kiedy badania wykazały anomalie genetyczne grożące poronieniem czy urodzeniem chorego dziecka – za tym idzie decyzja o zniszczeniu takiej blastocysty.

A co z zarodkami zapasowymi? Czy dawcy komórek mają obowiązek płacić za utrzymywanie

zbędnych zarodków w stanie zamrożenia do końca swojego życia albo stanąć przed zarzutem zabójstwa? Czy też może wyrok wymaga cofnięcia postępu medycyny do czasu, kiedy przed opracowaniem technologii mrożenia blastocyst wszystkie wytworzone zarodki implantowano w macicy jednocześnie, co powodowało produkcję czworo-, pięcio- czy sześciopaczek, narażało kobietę na utratę zdrowia i życia, ciężę na poronienie, a rodzinę na bankructwo?

Jeśli te spekulacje wydają się Wam absurdalne – pomyślcie jeszcze raz. Nie dalej niż 15 lat temu premier Donald Tusk powołał przy swojej kancelarii zespół ds. uregulowania prawnego procedur in vitro. Na szefa zespołu Tusk wybrał Jarosława Gowina, który w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej wyznał, że „słyszysz krzyk rozpaczliwych tysięcy zamrożonych zarodków” – i, żeby spać spokojnie, opracował projekt zabraniający mrożenia.

Dziś ten sam Donald Tusk wybrał projekt finansowania zgodnej z nauką – czyli zakładającej mrożenie zarodków – procedury in vitro na pierwszy akt swojej władzy.

15 lat temu PiS zgłosił w sejmie napisany przez posła Piechę projekt, który nie tylko zakazywał procedury in vitro w ogóle, ale chciał wsadzać za nią na dwa lata do więzienia. Dziś wywodzący się z PiS prezydent projekt finansowania zapłodnienia pozaustrojowego z budżetu bez oporu podpisał.

No i co – jest postęp?

AWŁ

W kieleckiej szkole zawodowej kształcącej księży w tym roku seminarijnym pojawiło się ośmiu kleryków pochodzących z kilku diecezji w Angoli. Na pierwszym roku dołączyli do załedwie trzech Polaków. Dzięki temu na wszystkich sześciu latach kształcenia jest dziś w Kielcach 19 kleryków krajowych i 10 z Afryki, bo od roku studiują tam dwaj goście z Republiki Srodkowoafrykańskiej.

Afrykańczycy zdobywają szlify księżowskie również w seminarium opolskim, a dwóch z Togo – w ełckim. Ciemnoskórzy klerycy najpierw uczą się polskiego. Nie tylko po to, żeby rozumieć wykłady. Język, którym w Polsce posługuje się wierzący miejscowy naród, będzie księżom potrzebny w ich późniejszej pracy. Nie w odległych afrykańskich wioskach, ale tu nad Wisłą. Jak bowiem informuje diecezja ełcka – po ukończeniu seminarium i otrzymaniu święceń Togijczycy „podejmą pracę duszpasterską w diecezji ełckiej”. Planowana jest ona na dziesięć lat.

Wakat w koloratce

Nic w tym dziwnego, bo gdy w maju zeszłego roku biskup ełcki Jerzy Mazur wystosował do wiernych specjalny list, który odczytano we wszystkich parafiach, media jeły rozpacznać. Hierarcha użalał się nad brakami kadrowymi i nad tym, że z tego powodu trzeba będzie łączyć parafie. „Dramat w polskim Kościele! Sprowadzają księży z Afryki, u nas brakuje ludzi”; „Diecezja pada, bo brakuje księży”; „Diecezja zмага się z kryzysem powołań” – zaszlochały publikatory.

Wtedy mleko się rozlało, a ks. Andrzej Kobylński, profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, był zmuszony powiedzieć dziennikarzom, że ciemnoskórzy klerycy to nic nadzwyczajnego, bo „według danych sprzed dwóch lat w seminariach zakonnych tacy kandydaci stanowili już jedną trzecią, pewnie w tym roku będzie ich jeszcze więcej, może nawet połowa”. Ksiądz profesor dodał, że „wszystko wskazuje na to, że model ełcki stanie się w najbliższych latach ogólnopolskim” gdyż „księża z Afryki są

Czarna twarz polskiego

...i wcale nie chodzi o Matkę Boską Częstochowską.

obecnie jedyną nadzieją Kościoła katolickiego w Polsce, gdy chodzi o braki kadrowe”.

W seminariach diecezjalnych, zakonnych i misyjnych w Polsce studia rozpoczęło w tym roku akademickim 280 mężczyzn, o blisko 50 mniej niż rok temu. 195 młodych ludzi chcących zostać księżmi poszło do ośrodków diecezjalnych, a 85 marzących o karierze habitowej do seminariów zakonnych. Dzięki temu łącznie na wszystkich rocznikach wszystkich seminariów w Polsce jest 1690 alumnów, w tym 1117 w ośrodkach diecezjalnych, a 573 w zakonnych.

W ciągu ostatnich pięciu lat przepojonych pisowską prokościelną propagandą liczba kleryków w seminariach diecezjalnych i zakonnych w Polsce zmniejszyła się o tysiąc – z ponad trzech do niespełna dwóch.

Jeszcze na przełomie wieków w polskich seminariach do zostania księdzem przygotowywało się 6789 kleryków. Od tego momentu liczba ta zaczęła lecieć na pysk. W 2002 r. było ich 6737, w 2012 – 3841, w 2022 – 1959. Przez niespełna ćwierć wieku popularność zawodu księdza spadła w Polsce bardziej niż czterokrotnie!

W 2005 – roku śmierci Karola Wojtyły – do seminariów diecezjalnych wstąpiło 1145 mężczyzn. Dziś 195 – czyli niemal sześć razy mniej. Skoro tak, to dlaczego liczba kleryków zmniejsza się tylko czterokrotnie?

Odpowiedź jest prosta i wcale nie ma związku z przybyszami z Afryki. Kiedyś seminarium odświeżało – lub traciło – nawet 80 proc. kleryków. Tyle że w tych czasach osoba kończąca seminarium była siódma w kolejce do objęcia probostwa. Dziś seminarium dmuchają i chuchają na każdego kleryka, żeby mu się – Boże broń – nie

odwidziało. Przy tak słabej rekrutacji między bajki można włożyć opowieści, jak to stan księży broni się dzięki badaniom psychologicznym przed potencjalnymi pedofilami.

Chuchanie i dmuchanie trochę daje. Po sześciu latach seminarium święcenia kapłańskie przyjmuje ostatecznie ok. 60 proc. alumnów. Dzięki temu w 2023 r. w całej Polsce wyświęcono 198 księży. Powód to optymizmu dla Kościoła umiarkowany: jeszcze dziesięć lat temu święceń było 401.

Sprawozdawczość subiektywna

Dekadę temu w Polsce było 10 058 parafii obrządków podległych Watykanowi. Wbrew biskupiej histerii w ostatnich latach zamiast, z braku księży, ubywać – parafii przybywało. W 2022 r. było ich 10 357.

Liczba księży inkardynowanych, czyli przypisanych do jakiejś parafii, w 2022 r. wyniosła 23 765. To o 219 mniej niż rok wcześniej i tylko o ok. 1000 mniej niż w roku 2014. Ponieważ jedna z tajemnic statystyki kościelnej stanowi, że księża przypisani do parafii nie zawsze w niej pracują, to centrum statystyczne Kościoła katolickiego w Polsce, czyli ISKK, podaje, że księży realnie posługujących w parafiach jest nieco ponad 20 tys.

Ćwierć wieku temu mnóstwo parafii miało na stanie jednego proboszcza i trzech, a nawet czterech wikarych. Dziś – gdy podzielimy realną liczbę katabasów parafialnych przez liczbę parafii, to wyjdzie, że standardem w niej jest jeden proboszcz i niecały jeden wikariusz. Najprostsza ekonomika kościelna powinna skłaniać biskupów do łączenia małych parafii.

Tymczasem ostatnie lata pokazują, że jak w jednym roku ich ubywa, to w następnym przybywa. To kolejny dowód na to, że kościelna histeria na jakieś dziwne przesłanki.

Do Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce – według jego statystyk – należy około 32 mln ludzi.

Kiedy więc podzielimy liczbę parafian przez liczbę parafii, wyjdzie nam, że parafię tworzy nieco ponad 3000 osób. Ale skoro z kościelnych statystyk wynika, że kościół odwiedza mniej niż 30 proc. Polaków podających się za katolików, to wyszłoby, że w uśrednionej parafii na msze chodzi ok. 870 osób.

Kościelna metodologia liczenia frekwencji na mszach od lat się nie zmienia. Upewniamy w tym rozmowy ze znajomymi księżmi. Standardem jest, że do raportu o realnej frekwencji na niedzielnych mszach przeliczeniowych (do udziału w których księża zwołują wiernych na wiele tygodni przed dniem liczenia, prosząc o przyprowadzanie na nie kogo się da), każdy proboszcz dorzuca 10–20 proc. pospółstwa więcej. Diecezje dokładają swoje 10 proc. i wyniki takie wędrują do Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego. Zdaniem księży realna statystyka wiernych praktykujących winna się zamykać w – góra – 20 proc. Czyli w przedziale 5,5–6,5 mln osób. To wciąż bardzo dużo, ale w porównaniu z każdą dekadą wstecz wyniki są dla polskiego katolicyzmu porażające.

Byłyby jednak mniej bolesne dla Kościoła, gdyby ISKK nie bazował na swoim widzimisie, ale skorzystał z danych spisu powszechnego z 2021 r. Według nich za katolików uważa się nieco ponad 27 mln Polaków, czyli 71,3 proc. ogółu ludności. Pozostali są niewierzący, wyznają inną wiarę

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ W mediach społecznościowych jednego z duszpasterzy pojawiło się zaskakujące nagranie. Ksiądz Rafał Głowczyński, znany internetom jako Ksiądz z osiedla, umieścił na TikToku krótki filmik z wieńczącego karnawału V Balu Seniora w Piastowie. Na nagraniu można zobaczyć, jak młody duchowny obraca na parkiecie seniorki w rytm kawałka „Wygładasz idealnie”, którego wykonawcą jest Skolim. „Widzę cię mała, jak jesteś doskonała / Jak bardzo mnie to jara, jak bardzo mnie to jara / Wchodzę do klubu, zamawiam pierwszą setę / Biorę zawsze dla siebie najpiękniejszą kobietę / Biorę cię mała, chcę być tu została / Chcę, byś, skarbie, mnie tej nocy mocno całowała” – śpiewa na nagraniu artysta. Sądząc po uśmiechach, seniorkom płaśającym z księdzem dobrze weszła nuta.

✦ Jak donosi Konferencja Episkopatu Polski, katecheci już niebawem dostaną do dyspozycji nowoczesne narzędzie, dzięki któremu przygotowanie konspektu lekcji religii czy katechezy parafialnej będzie o wiele prostsze. Mowa o platformie Katecho.pl. To projekt przygotowany przez Fundację Warsaw New Tech University. „Zależy nam, żeby wykorzystać dobrostan współczesnej cywilizacji i dedykować go właśnie katechezie czy nauczaniu” – powiedział ksiądz Stanisław Dziekoński, szef WNUF. Dobrostan dla katechetów został sfinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych w 2023 r. przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego i kosztował podatników 1 304 919 zł.

✦ 22 lutego przed Sądem Okręgowym w Zamościu rozpoczęło się postępowanie apelacyjne w sprawie Jarosława Z., duchownego, który został uznany za winnego molestowania nieletniej. Uchylenia wyroku w całości i ponownego rozpatrzenia sprawy bądź uniewinnienia oskarżonego chcą zarówno obrońca, jak i ksiądz, który usłyszał kilka miesięcy temu wyrok skazujący. To konsekwencja zaskarżenia wyroku wydanego przez Sąd Rejonowy w Biłgoraju w październiku 2023 r. W akcie oskarżenia Prokuratura Rejonowa w Biłgoraju zarzuciła duchownemu, że 16 sierpnia 2012 r., pełniąc posługę w jednej z wiejskich parafii pod Biłgorajem, zaprosił 17-letnią wówczas dziewczynę na plebanię. Wspólnie z nastolatką mieli oglądać film. 29-letni wówczas mężczyzna podczas seansu zaproponował nastolatce masaż pleców, podczas którego miał uścisnąć na jej leżących i dotykać piersi, włożywszy ręce pod stanik, a także pośladek, wcześniej odsunąwszy spodnie. Poszkodowana o wydarzeniach z lata 2012 r. poinformowała zamojską kurię wiele lat później, już jako dorosła kobieta. W międzyczasie opuściła rodzinną miejscowość, skończyła studia i rozpoczęła pracę jako psycholog, m.in.



pomagając osobom, które doświadczyły molestowania seksualnego, również ze strony księży. Sąd pierwszej instancji uznał księdza Z. za winnego i skazał go na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata, zakazał kontaktów i zbliżania się do pokrzywdzonej oraz orzekł wobec duchownego pięcioletni zakaz wykonywania obowiązków zawodowych związanych z wychowaniem małoletnich. Skazany z tym postanowieniem się nie zgodził. Zarzucił sądowi pierwszej instancji popełnienie szeregu błędów, w tym oddalenie wniosków dowodowych w postaci przesłuchania świadków, którzy mogliby oskarżonemu zapewnić alibi.

✦ Ojciec święty Franciszek przyjął rezygnację abp. Andrzeja Dzięgi z posługi arcybiskupa metropolity szczecińsko-kamieńskiego. Wobec Dzięgi toczyły się w Watykanie dwie sprawy dotyczące krycia pedofilii w diecezjach sandomierskiej i toruńskiej. Komunikat nuncjatury oznacza, że na cztery lata przed emeryturą arcybiskup został zmuszony przez Stolicę Apostolską do ustąpienia. A ta – aby pokazać, że w tańcu się nie pierdoli – nie pozwoliła mu nawet zarządzać archidiecezją do momentu mianowania nowego arcybiskupa. Od teraz bowiem zarządzać nią będzie administrator apostolski ks. Zbigniew Zieliński. Arcybiskup Dzięga był jednym z bohaterów wyemitowanego 12 lutego 2021 r. reportażu TVN24 „Najdłuższy proces Kościoła” o księdzu Andrzeju Dymersze, który – według dziennikarzy – wykorzystywał seksualnie nieletnich, o czym szczytny biskupi wiedzieli od 1995 r. Śledztwo w sprawie wszczęto jednak dopiero po publikacji dziennikarzy „Gazety Wyborczej” w 2008 r. Ponieważ dokument nuncjatury wspaniałomyślnie milczy o winie i odpowiedzialności biskupów, wy tłumaczył złym stanem zdrowia. Klecha klesze oka nie wykole...

✦ „Mieszkanie bez ślubu to budowanie domu na cudzej działce” – napisał na platformie X ksiądz Wojciech Węgrzyniak. Cóż, w takim razie celibat to wrogię zawaśszczenie nieużytku.

KLECHA

Więści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Księża do wzięcia

Ogłaszam was księdzem i żoną, czyli o tym, czy celibat wart jest mszy.

Jednym z ciekawszych przejawów zainteresowania stanem cywilnym obcych ludzi jest przypadek celibatu. O beżenności księży dyskutują zarówno teologowie, jak i ateści, wzorowi członkowie Kościoła kat., jak i niedzielnicy katolicy, a także innowiercy. Paradoksalnie najmniej chyba walczyć ten temat sami duchowni, mimo że to ich on najmocniej dotyczy. Prawdopodobnie dlatego, że do niedawna klimat był taki, że gdy klecha nie zachwalał pod niebiosa życia bez rodziny, to mógł się znaleźć na cenzurowanym. Ale to się powoli zmienia. Coś nowego pod słońcem.

Podobno ks. Józef Tischner przed położeniem się na poobiednią drzemkę mawiał, że można go obudzić tylko w dwóch przypadkach: gdy zadzwoni papież albo gdy zniszczy celibat. Tischner śpi już snem wiecznym, więc nijak się go nie obudzi, a powód może by się znalazł – i nie byłby to telefon od papieża. Chyba że papież dzwoniłby z nowiną o zniesieniu celibatu, co też nie jest wykluczone. W każdym razie sprawa musi być już rozważana w niebie, bo została przedłożona najwyższej instancji przez jednego z funkcjonariuszy Pana Boga na ziemi.

Nabożeństwo w sprawie ożenku

Mszę w intencji zniesienia celibatu, a przynajmniej jego ograniczenia, odprowadził łódzki ksiądz Michał Misiak. Konkretnie modlił się o „łaskę przywrócenia w Kościele rzymskokatolickim fakultatywnego celibatu dla duchowieństwa”. Uargumentował to następująco: „Nie każdy powołany na duchownego ma jednocześnie łaskę powołania do celibatu. Z tego powodu rodzą się dwa konflikty sumień. Wielu młodych mężczyzn powołanych przez Pana do stanu duchownego nie wchodzi na drogę kapłaństwa, gdyż pragną rodziny, a drugie zło: wielu księży żyje

w grzechu śmiertelnym, przez co są niewolnikami diabła, gdyż nie mając powołania do życia w celibacie, udają, że w nim żyją”. Msza została odprowadzona 11 lutego, kiedy to w Kościele jest obchodzony Światowy Dzień Chorego. Ks. Misiak uznał, że należy to uczcić modlitwą o uzdrowienie chorego systemu kościelnego.

Mszę odprowadził i nie został wyrzucony z szeregów kleru ani ekskomunikowany, przynajmniej na razie. A byłby to już jego drugi raz. Ks. Misiak ma bowiem bogatą i burzliwą historię relacji z Kościołem i kapłaństwem mimo stosunkowo młodego wieku – jest ledwo po czterdziestce. Niedawno wrócił na łono Kościoła po romansie z protestantami w Afryce. Misiakowi celibat od dawna jest nie w smak i szukał rozmaitych sposobów, by zjeść ciastko i mieć ciastko, czyli żeby ożenić się i pozostać księdzem.

Przez wiele lat apelował do papieża, by zwolnił go z obowiązku celibatu, bo twierdził, że jest powołany zarówno do kapłaństwa, jak i do małżeństwa. Papież na te prośby pozostawał głuchy, a Misiak dalej swoje. Był jednym z najbardziej rozpoznawalnych i medialnych łódzkich księży, głośno było choćby o jego wizycie kolędowej w burdelu czy łażeniu i ewangelizowaniu na ulicy Piotrkowskiej, gdzie sam go wielokrotnie widywałem. Organizował też chrystoteki, czyli dyskoteki bez alkoholu, ale z modłami i spowiedzią. Był zatem cennym nabytkiem dla archidiecezji łódzkiej, bo przyciągał młodych i miał zmysł organizacyjny, a zarazem kulą u nogi, bo ma problem z posłuszeństwem wobec przełożonych. To grzech śmiertelny, bo przecież posłuszeństwem ta instytucja stoi.

Ksiądz, nie ksiądz, ksiądz

Poszukiwania własnej drogi zawiodły Michała Misiaka do Izraela, gdzie 24 maja 2019 r. przyjął

Kościół

bądź odmówili odpowiedzi na pytanie. Dziesięć lat wcześniej, w poprzednim spisie, katolicyzm deklarowało ponad 33,5 mln Polaków, czyli 87,5 proc. W ciągu dziesięciu lat liczba zadeklarowanych katolików spadła o ponad sześć milionów. Liczba bezwyznaniowców wzrosła niemal trzykrotnie. Podobnie liczba osób odmawiających odpowiedzi na pytanie o wyznanie. Gdyby zatem zamiast liczyć odwiedzających kościoły w stosunku do liczby ochrzczonych, ISKK wyliczał frekwencję względem przyznających się do katolicyzmu, to miałby lepsze dane procentowe.

Przodownicy w sutannach

Procenty nie napelnia tacy i nie zamówia mszy w intencji. To mogą zrobić tylko te miliony wiernych, które Kościołowi zniknęły. Na dodatek szlag trafił nieustające źródło pieniędzy dla kleru w postaci rządów PiS. Utrata tacy i dotacji państwowych to i tak nie całe zło, które spotyka Kościół, bo przecież jeszcze Nowacka chce obciążyć klerowi pieniądze za połowę idących do odstraszenia lekcji religii.

To byłby dla dużej części kleru dramat, wszak przyzwyczaili się do sytuacji, gdy koszt utrzymania mnóstwa księży wzięło na siebie państwo. Księża są oczywiście katechetami, ale też kapelanami w wojsku, policji, straży pożarnej, wszystkich służbach mundurowych i szpitalach. I za to dostają pieniądze z budżetu, na który składa się coraz więcej niekatolików.

Dlatego wśród księży zaczyna się ruchawka i padają postulaty, na które oczywiście hierarchia nie przystanie. Savonarole znad Wisły umyślili sobie, że biskupi powinni sprawdzić, ilu księży przypada na praktykujących katolików, bo to są jedyne miarodajne liczby, które mówią o zapotrzebowaniu na księży. To bowiem

zmałało. Coraz mniej ludzi się spowiada, mniej przyjmuje po kołędzie, mniej wzywa do umierającego i mniej uczestniczy w różnych grupach parafialnych.

Savonarole-stachanowcy dochodzą więc do wniosku, że księża mają mniej pracy niż dawniej, a narzekają, że ich brakuje. Radzą więc biskupom zabrać z parafii księży, którzy współcelebrują niedzielne msze, bo to świadczy, że jest ich w takiej parafii nadmiar. No i sprawdzić, czy księża pracują przynajmniej 40 godzin tygodniowo. Nade wszystko zaś – łączyć parafie, które są za małe i nie są w stanie utrzymać i proboszcza, i wikarego.

Są i postulaty innowatorskie dotyczące przesunięcia księży ze zbierania tacy do roboty przy ołtarzu czy w konfesjonale. Jest pomysł zmniejszenia liczby odprawianych w niedzielę mszy, w taki sposób, żeby nie było w jej trakcie wolnych miejsc siedzących.

Część księży propozycji to niemal czysta herezja. Jak ta, aby księża mogli uczyć religii w szkołach najwyżej w wymiarze pół etatu. Albo ta, by zastąpić ich świeckimi w tych funkcjach, do których nie trzeba święceń kapłańskich.

Kościelni reformatorzy nie wpadli na to, że zmuszenie księży do pracy jeszcze bardziej zmniejszy zaciąg do seminarium. Nie czują też tego, że większość polskich katolików za darmo księdza w niczym wyręczać nie będzie. Mniejsza liczba mszy jeszcze bardziej oddali wiernych od Kościoła. Dzięki czemu Polski

ponowny chrzest w Jordanie z rąk protestanckiego pastora. Tym samym ściągnął na siebie ekskomunikę z automatu. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, a w Kościele kat. wejście do Jordanu w celu drugiego polania wodą wiąże się z anatemią. Misiak twierdził, że zrobił to na nieświadomości i w dobrej wierze. W lipcu tego samego roku abepe Grzegorz Ryś zjął z niego ekskomunikę, przyjął go z powrotem do firmy i posłał jako wikarego do parafii w Konstantynowie Łódzkim. Ale i tam Misiak długo nie zagrał miejsca. Wyjechał do Afryki, znowu powołując się na boskie inspiracje. W Tanzanii uznał, że nie po drodze mu z Watykanem. „Muszę zakończyć moją duchową drogę w Kościele katolickim. Bóg o wszystko już się zatroszczył. Zaprosił mnie do Kościoła zielonoświątkowego, w którym w przyszłości pragnę podjąć posługę pastora” – relacjonował na Facebooku.

Okazało się jednak, że życie bez wsparcia instytucjonalnego i finansowego firmy nie jest tak kolorowe. W 2022 r. niedoszły pastor Misiak wrócił do Polski i pomagał uchodźcom z Ukrainy. Po kilkuletniej tułaczce 1 listopada 2023 r. znowu zaczął pracować jako ksiądz rzymskokatolicki w szpitalu prowadzonym przez zakon bonifratrów w Łodzi. I znowu ma niekonwencjonalne pomysły, i znowu marzy o zniesieniu celibatu, o co się modli.

Z żoną, bez paszportu

W swoich wędrówkach geograficznych i duchowych przypomina nieco Emmanuela Milingo – 93-latką z Zambii. Milingo zaczął karierę jako duchowny katolicki. W 1969 r. został pierwszym czarnoskórym arcybiskupem Lusaki – zastąpił na tym stanowisku misjonarza z Polski, jezuitę Adama Kozłowieckiego. W 1983 r. został odwołany za karę. Urządzał bowiem seanse uzdrowicielskie i egzorcystyczne, w których mieszał chrześcijaństwo z plemiennymi wierzeniami Afryki. Przynosiło mu to sławy w ojczyźnie, ale nie podobało się władzom kościelnym. Został przeniesiony do Rzymu, gdzie miał wieść stacynny żywot emeryta.

Temperament Milingo nie pozwolił mu na usiedzenie w miejscu. Nawiązał kontakty z Sun Myung Moonem – koreańskim guru religijnym i założycielem Kościoła Zjednoczeniowego. Tak jak Misiak zaczął naciskać na papieża, by zwolnił go z celibatu, i podobnie jak łodzianin takiej

zgody nie uzyskał. W 2001 r. ożenił się w Kościele Moona z Marią Sung Ryae Soon – dużo młodszą od siebie Koreanką. Po dyscyplinującej rozmowie z JP2 pokajał się i wrócił na łono Kościoła kat. Pokutował w Argentynie i Rzymie, ale znowu nie wytrzymał. W 2006 r. ogłosił, że wrócił do żony. Wyjechał do USA i założył stowarzyszenie żonatych księży. Jak i nasz rodak (Misiak, nie Wojtyła) ściągnął na siebie ekskomunikę i, co gorsza, stracił watykański paszport, przez co wyrzucili go ze Stanów. Błąkał się po świecie i wyswiewał żonatych mężczyzn na księży. W 2012 r. wycofał się z działalności publicznej i zamieszkał na farmie w rodzinnej Zambii. W topowej formie nagrał płytę i był wziętym egzorcystą showmanem, którego lubiły kamery. Michał Misiak ma jeszcze przed sobą wiele lat i – obserwując jego dotychczasowe poczynania – wiele zawirowań życiowych. Emmanuel Milingo przetał szlaki.

Młot na pederolów

Co zaś do celibatu, to w samym Kościele trwa ożywiona debata na ten temat, podgrzana przez współpracownika papieża abepe Charlesa Sciclunę. Jest on sekretarzem pomocniczym Kongregacji Nauki Wiary (dawniej Inkwizycji, zajmującej się katolicką doktryną i odstępstwami od niej). W wywiadzie dla pisma „Times of Malta” Scicluna powiedział: „Gdyby to ode mnie zależało, zrewidowałbym wymóg zachowania celibatu przez księży. Prawdopodobnie pierwszy raz mówię to publicznie i dla niektórych osób zabrzmi to heretycko [...]”. Dlaczego mielibyśmy stracić młodego człowieka, który byłby dobrym księdzem, tylko dlatego, że chce się ożenić? Celibat był dobrowolny w pierwszym tysiącleciu istnienia Kościoła i powinien znowu stać się dobrowolny [...]. Mężczyzna może dojrzeć, nawiązać związek, pokochać kobietę. W tej chwili musi wybierać między nią a kapłaństwem, a niektórzy księża radzą sobie z tym, tajemnie angażując się w sentymentalne relacje”. Te słowa to miód na serce ks. Misiaka i jemu podobnych. Zapewne ośmieliło go to do odprawiania wspomnianej wyżej mszy – ma na podkładkę słowa ważnego watykańskiego urzędnika.

Luzowanie poglądów ws. celibatu podyktowane jest przede wszystkim względami pragmatycznymi:

KSIĄDZ TO CHYBA Z TORUŃSKIEJ PARAFII?



Kościół katolicki będzie musiał szukać czarnoskórych nie tylko do bycia księżmi, ale zacznie sprowadzać ich tysiącami, by za kilka lat mieć dla kogo odprawiać msze.

TADEUSZ JASIŃSKI

Kościółowi kat. doskwierają braki kadrowe. Po prostu księża będą żonaci albo niebawem nie będzie ich wcale.

Dla nas to pomyślna wróżba, ale w Rzymie panują nastroje minorowe. Jest jednak także inny aspekt zamieszania wokół celibatu. Warto wspomnieć, że abepe Scicluna to papieski śledczy w sprawach księżowskiej pedofilii. Jeździ po świecie i tropi przestępców w sutannach. Uchodzi przy tym za bardzo skutecznego – doprowadził m.in. do pozbawienia wszelkich godności i wydalenia ze stanu duchownego byłego kardynała Theodore'a McCarricka, po jego wizycie podał się do dymisji cały episkopat Chile. Charles Scicluna był też w Polsce w 2019 r. „Obejrzałem film braci Sekielskich, zrobił na mnie ogromne wrażenie” – mówił na spotkaniu z polskimi biskupami. Po jego wizycie nic spektakularnego się nie wydarzyło, ale kilkunastu biskupów zostało ukaranych przez Watykan zakazami i ograniczeniami w publicznej działalności, a kolejni zostali „poproszeni” o udanie się na wcześniejszą emeryturę.

Można więc przypuszczać, że takie słowa wypowiedziane przez tę akurat osobę mają szerszy kontekst i papież ustami swojego współpracownika zauważa związek celibatu z nadużyciami seksualnymi.

Pastorzy też chędożą

Entuzjaści zniesienia celibatu jako remedium na całe kościelne zło powinni jednak wstrzymać swoje konie. Z niedawno opublikowanego raportu nt. nadużyć w Kościołach protestanckich w Niemczech wynika, że rzecz nie sprowadza się do samego celibatu. Pastorzy mają przecież rodziny, a jednak skala przestępstw nie ustępuje Kościołowi rzymskokatolickiemu. Niemiecka grupa badawcza ForuM stwierdza we wnioskach ze swoich badań, że dostarczyła „wyraźnych dowodów na wysoki poziom przemocy seksualnej” we wspólnotach protestanckich. Od 1946 r. naliczono prawie 9,5 tys. nieletnich ofiar i 3,5 tys. związanych z Kościołami sprawców. Jak podkreślają autorzy raportu, te dane są jedynie szacunkowe, bo nie wszystkie wspólnoty chciały współpracować i udostępniać dokumenty (skąd my to znamy?).

Wygląda na to, że celibat lub jego brak nie przekłada się bezpośrednio na zapędy duchownych. A gdyby tak poszukać głębiej? Może problem tkwi w samej instytucjach religijnych, a nie w ich poszczególnych odmianach?

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Z pozycji dużego kraju, jakim jest Polska, gdzie na tle innych krajów tych inicjatyw duszpasterstwa młodzieży jest naprawdę wiele, warto pokazać bogactwo codziennej zwykłej pracy z młodymi na szczeblu poszczególnych diecezji, wspólnot i zgromadzeń zakonnych. [...] Z drugiej strony widzimy, **jak bardzo zmiany laicyzacyjne osłabiają kondycję moralną i psychiczną młodego człowieka**, sprawiając, że wielu z nich jest zupełnie niezainteresowanych propozycją Kościoła.

bp Grzegorz Suchodolski, Ekai.pl, 21 lutego

■ Obecność w przestrzeni publicznej **zasad wynikających z religii katolickiej** jest w krajach **cywilizacji europejskiej fundamentem ładu moralnego w wymiarze indywidualnym**, a także ładu społecznego. Nauczanie religii w szkole stanowi istotne wsparcie w procesie formowania sumienia i umysłów dzieci i młodzieży, a co za tym idzie, **kształtowania oblicza ziemi w duchu prawdy, sprawiedliwości, wolności i pokoju**.

Antoni Buchala, prezes Katolickiego Stowarzyszenia Wychowawców, Facebook, 19 lutego

■ Mamy działania dotyczące in vitro oraz rozszerzenia zakresu tzw. aborcji. Mamy też pigułkę „dzień po”, która także jest **działaniem aborcyjnym i działaniem o tyle tragicznym i cynicznym, że dokonuje się w formie tak zbanalizowanej**. Forma ta dla dziewczyny, która ten proceder podejmuje, może wydawać się czymś nieistotnym, banalnym. Tymczasem to jest **zabijanie życia poczętego**, a więc akt jak najbardziej tragiczny w życiu człowieka, jaki można sobie wyobrazić.

Ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 22 lutego

■ Żyjemy w czasach wielkiego kryzysu zarówno życia małżeńskiego, jak i moralności seksualnej. Niestety, zdrady małżeńskie, rozwody, korzystanie z usług prostytutek, przygodne związki erotyczne już dawno przestały być zjawiskami marginalnymi. Liczba osób, w tym również małżonków, **nałogowo uprawiających onanizm** lub uzależnionych od nałogu oglądania pornografii jest nieprawdopodobnie wysoka. Słowem – **rewolucja seksualna święci dziś swoje triumfy**. Zresztą jednym z jej skutków jest także **wzrost liczby osób, które łamią śluby celibatu**. W tej sytuacji rezygnacja z celibatu księży byłaby usuwaniem jednego z objawów choroby zamiast leczenia samej choroby.

O. prof. dr hab. Jacek Salij, „Niedziela”, 24 lutego

■ Ktoś mógłby powiedzieć, że dzisiaj prawie nikt już nie czci pogańskich bożków. Tyle że z pogaństwem sprawa jest bardziej złożona. To nie kult słońca, księżyca, rozłożystych dębów itd. Współczesne pogaństwo ma współczesnych, nowoczesnych idółów, których czci. Są to ideologie, które chcą zastąpić wiarę w Boga Jezusa Chrystusa. W XX w. taką »religijną« ideologią tworzącą swoich idółów był marksizm-leninizm-stalinizm, maoizm, a także hitlerizm. Dziś mamy **neomarksistowskie w gruncie rzeczy ideologie, jak genderyzm, LGBTQ+, klimatyzm, aborcjonizm, eutanazizm**. Szerzy się też wróżbiarstwo, okultyzm, magia. Natura nie znosi próżni; jeśli ludzimi wyrwie się z serc wiarę w Boga Stworzyciela i Zbawiciela, to w to miejsce wejdą wierzenia o w gruncie rzeczy **diabelskiej proveniencji**.

Ks. prof. Dariusz Kowalczyk, Idziemy.pl, 23 lutego

■ Mainstreamowe telewizje „informacyjne” są do zaorania. Niszczą dyskusję, manipulują, sterują emocjami, wyzwalając w widzach prymitywne odruchy. Lista wad jest dłuższa. W skrócie – **media szkodzą Ojczyźnie w poszukiwaniu prawdy**.

Ks. Daniel Wachowiak, X, 19 lutego

KLECHA



Lew Ordo Iuris ponownie przychodzi w chwale

Pod jego okiem

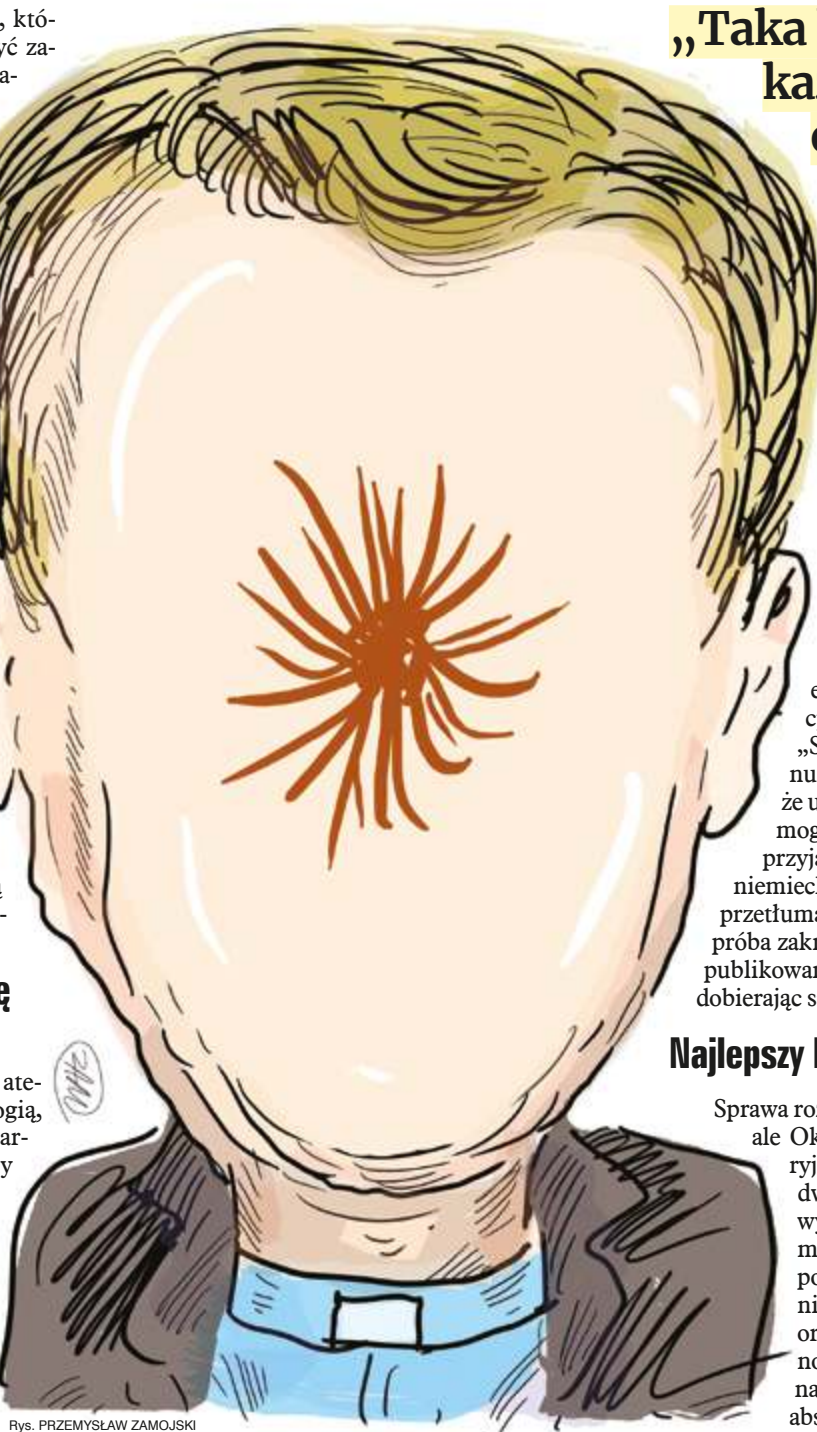
Na fali zmian społeczno-kulturowych, które po wielu latach mają szansę przybliżyć zapieśniały kraj nad Wisłą do Europy, z zakamarków tęskniącej za wschodnimi standardami konserwy wypłynął dawno niewidziany establishment katolickiego zamordyzmu. To zapewne przypadek, że gdy nowy polski rząd mozolnie, acz sukcesywnie zabrał się do odciągania Kościoła od państwowego państwa, a przy okazji popuścił nieco gumy w gaciach, dając nadzieję na legalizację związków partnerskich czy aborcji, do łask niczym Feniks z łajna powrócił ksiądz dr hab. Dariusz Oko, filozof, profesor Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, Lew Ordo Iuris.

Z historycznego punktu widzenia dopełnił się pewien cykl, bo gdy Kościół traci wpływy, wszystko to, co powinno znajdować się w sferze sacrum, z lubością wypycha w sferę świeckości i życia materialnego. Niby nic nowego, ale gdy motorem jest wściekła determinacja, rodzi się chrześcijański fundamentalizm. Oko, niczym wierny generał, powrócił z medialnej banicji, by porwać za sobą masy, i udzielił wywiadu serwisowi wPolityce.pl.

Zateizowane przez deprawację seksualizacją

„Czeka nas kolejny ciężki bój z kolejną ateistyczną, totalitarną i absurdalną ideologią, kolejna wielka obrona najwyższych wartości, obrona godności ludzkiej. Musimy najbardziej bronić dzieci i młodzieży, które mają być zateizowane poprzez deprawację najbardziej wulgarną i prymitywną seksualizacją, co jest wielką zorganizowaną zbrodnią na dzieciach, na człowieku i na całym społeczeństwie” – wzywa Oko i dodaje, iż „My, Polacy, najbardziej ze wszystkich narodów doświadczaliśmy absurdu i zbrodni – zbrodni ateistycznych ideologii i dlatego jesteśmy szczególnie uodpornieni na kłamstwa i nagą przemoc kolejnej takiej ideologii – genderyzmu”.

Zwieńczeniem ubiegłorocznego jubileuszu 10-lecia działalności katolicko-fundamentalistycznego Instytutu Ordo Iuris w Polsce była gala, podczas której wręczono statuetki Lwów Ordo Iuris. Nagrody otrzymały osoby, które zgromadziły najwięcej głosów internautów w pięciu kategoriach: życie, rodzina, wolność, chrześcijańskie dziedzictwo narodu oraz kultura. Ceremonia odbyła się 30 września 2023 r. Oko został uhonorowany Lwem Kręgu Przyjaciół Ordo Iuris oraz dyplomem w uznaniu wybitnych zasług w obronie rodziny w towarzystwie nazwisk tak doskonałych jak Wanda Półtawska, Wojciech Roszkowski i Bohdan Chazan. Chuj je-



Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

KSIAŁDZ OKO
SYNTEZA

den raczy wiedzieć, jakich rodzin i przed czym bronił ksiądz profesor, gdyż jego kariera kręciła się głównie wokół ścigania homoseksualistów w kręgach kościelnych.

Na tę też okoliczność został niejako męczennikiem w sprawie, gdy w maju 2022 r. niemiecki sąd okręgowy w Kolonii skazał go na karę grzywny za podżeganie do nienawiści. Posługując się przykładami z różnych zakątków świata, duchowny opisał perypetie lawendowej mafii w Kościele.

„Taka homomafia, jak każda mafia, zachowuje się jak bezwzględny pasożyt, jak nowotwór, który jest gotów nawet uśmiercić swojego nosiciela”

– napisał w artykule Oko, podkreślając, że homoseksualizm jest główną przyczyną molestowania, co sąd finalnie wycenił na trzy koła euro karnej nawiązki na rzecz fundacji charytatywnej dla ofiar przemocy. „Sędzia podkreśliła, że nie kwestionuję prawdy mojego artykułu, tylko że użyłem za mocnych wyrażań, z czym mogę się zgodzić, bo faktycznie moi przyjaciele z Niemiec powiedzieli, że po niemiecku brzmi to za mocno, gdy zostało przetłumaczone z polskiego. Nie udało się próba zakneblowania nas, bo sąd nie zabrania publikowania. Mogę publikować, tylko lepiej dobierając słowa” – chwalił się ksiądz profesor.

Najlepszy Kościół na świecie

Sprawa rozeszła się po prawicowych kościołach, ale Oko, dotąd pierwszy głos Radia Maryja, zniknął z mediów, by wypłynąć dwa lata później jak łaki niechęć wydłużane z odpływu podczas romantycznej kąpieli. „Koalicję tworzą politycy także skrajnej lewicy, której niejako pseudoreligią jest gender” – orzekł w wywiadzie dla portalu Kar-nowskich. „Ogłasza się bezwzględny nakaz całkowitego poddania się tej absurdalnej ideologii, a każdy, kto się temu sprzeciwi, ma trafić do więzienia i nie ma prawa się odezwać. Prześladowuje się go, odbiera ludzką godność, poniża, opluwa, nazywa wtedy zepsutym karłem reakcji, a dziś homofobem”. Biedaczek, spałakał się betonowymi łzami.

„Nasi przeciwnicy i oprawcy są bardzo mocni – liczebnie, politycznie, medialnie, finansowo oraz mają potężnych sojuszników za granicą. Ale my też mamy swoje atuty. Przede wszystkim najlepszy i najmocniejszy Kościół świata, Kościół męczenników, a nie pseudochrześcijań (jak często bywa na Zachodzie). W tym Kościele są miliony ludzi i rodzin, które są gotowe być wierne prawdzie i dobru, Chrystusowi i człowiekowi, podobnie jak święta, męczeńska rodzina Ulmów, która tak bardzo przetrwała wszelkich przestępczych ideologów. A przede wszystkim my jesteśmy po stronie Boga w obronie ludzkości przed ideologiami pisanymi pod dyktando

do różnych demonów śmiertelnie wrogich Stworcy. A te demony na pewno w końcu przegrają tak, jak przegrali komuniści” – skonstratował w wywiadzie dla wPolityce.pl ksiądz Dariusz Oko.

Fundamentalizm w 12 broszurach

Na miejscu księdza profesora nie szarżowałabym tak z osądami Zachodu, bo chcąc czy nie, czerpie z jego doświadczenia pełnymi garściami. Słowo „fundamentalizm” nie bez powodu kojarzone jest ze wspólnym tytułem „The Fundamentals: A Testimony to the Truth”. To 12 broszur zawierających około 90 artykułów, w których czołowi amerykańscy teolodzy tłumaczyli dogmaty wiary. Opublikowane w latach 1910–1915 w USA materiały dały początek protestanckiemu fundamentalizmowi i miały poważne konsekwencje dla późniejszej sceny politycznej Stanów Zjednoczonych. Dyrdaymały o Biblii jako księdze pierwszej, ostatecznej i nieomyślnej, opublikowano w trzech milionach egzemplarzy i kolportowano bezpłatnie wśród pastorów, dyrektorów szkółek niedzielnych, profesorów i studentów teologii. Ziarno wydało plony.

Z biegiem czasu do propagowania swych idei fundamentaliści wykorzystywali środki masowego przekazu. Radykalni kaznodzieje tłumnie prezentowali swoje poglądy przed kamerami telewizyjnymi, jednocześnie zbierając fundusze od wiernych. Problematyka religijna stała się tym samym jednym z elementów kampanii prezydenckiej w 1980 r., w której zwyciężył niekryjący swych sympatii do wszelkiej maści świętojeblowych ruchów Ronald Reagan. Na zacierze tego religijnego fermentu w 1986 r. zrodziło się ugrupowanie Operation Rescue, którego członkowie rozkręcili terroryzm antyaborcyjny. Bojówki stowarzyszenia nie dopuszczały do klinik skrobankowych (określanych przez nich przedświadczeniami piekła) kobiet i pracowników. Pod placówkami urządzano zbiorowe modlitwy i śpiewano psalmy. Spirala nakręcała się w stronę ekstremizmu. W latach 1993–1996 antyaborcyjni terroryści zabili 5 i ranili 11 osób. Tylko w 1995 r. zanotowano ponad dwa tysiące incydentów wokół klinik aborcyjnych, w tym w 295 przypadkach z użyciem przemocy. Prawicowo pyszne, szczególnie w kontekście zapowiadanych zmian w prawie aborcyjnym w Polsce.

Oka nie gaście

Jakkolwiek nierealne wydają się to wizje w świecie odbitej z rąk ultrasów uśmiechniętej Polsce, warto pamiętać, że próbki podobnej modlitewnej krucjaty mieliśmy przez kilka ostatnich miesięcy pod szpitalem w Oleśnicy. Akcję prowadziła związana z Ordo Iuris Fundacja Pro – Prawo do Życia.

Problem z radykałami pokroju Dariusza Oko jest taki, że czasy wielkiego w ich mniemaniu niebezpieczeństwa rozbudzają w nich wielkie potrzeby. Dopatrując się rozkładu społecznego i degradacji wspólnej świadomości we wszystkim, co odbija od zeżartych przez mole świętych komunaułów, będąc piałem o dekonstrukcji ery postchrześcijańskiej, straszyć masową centralizacją władzy i nowym porządkiem świata. Niewielka grupa odbiorców postapokaliptycznych wizji chrześcijańskich proroków nowej ery w świetle konserwatywnych reflektorów nabiera blasku elitarności. Mając się za orędowników dobra, kiedy na szali waży się znacznie więcej niż dobrobyt konkretnej grupy, regionu czy nawet pokolenia, nie wahają się sięgnąć po swoje. Kościół katolicki, jakkolwiek starałby się stanąć w rozkroku i przypisać sobie gębę postępowego, zawsze będzie tkwił po prawej stronie.

Czy trzeba się bać? Nie, ale wśród podśmiewuchek na godny pożałowania odłam chrześcijańskiego ekstremizmu zawsze warto mieć oko.

IDALIA DUBICKA

WIARA CZYNI CZUBA

1. Katolicki portal informacyjny CNA opowiada historię Irasemy Angel, Meksykanki żyjącej w USA. Irasema miała to nieszczęście, że w odróżnieniu od innych Meksykanów w Stanach była bogata od małego: pędziła „życie pełne luksusów”, jej świat był jak „szklane pudełko pełne kłamstw”, a co gorsza jej tatuś przyprowadził rogi jej mamusi. Z tego powodu „w wieku zaledwie 14 lat Angel przyjęła buntowniczy styl życia, naznaczony feminizmem, hedonizmem i samowystarczalnością”, co przejawiało się tym, że „była pozbawiona wstydu i skromności”, a to „przenikało wszystkie aspekty jej życia frywolnością, od sposobu ubierania się po sposób mówienia i zachowania”. Na

szczęście „Matka Boska interweniowała”. Irasema poszła bowiem na pielgrzymkę i już od 18 lat „kroczy ręką w rękę z Chrystusem”. Kamień z serca, już się martwiliśmy.

2. Na początku lutego Nex Benedict, 16-nastoletnia osoba niebinarna, mająca nieszczęście mieszkac w transfobicznym stanie Oklahoma, została napadnięta w szkolnej łazience przez trzy radykalnie binarne koleżanki. Następnego dnia zmarła. Przyczyny śmierci nadal są badane, ale senator stanowy Tom Woods wie, co myśleć o śmierci niebinarnego dziecka: choć „serce mu się kraje”, to jednak „jesteśmy republikańskim stanem z przewagą w Izbie Reprezentantów i Senacie” i on, Woods, „reprezentuje okręg wyborczy, który nie chce tego brudu w Oklahomie”, gdyż „jesteśmy stanem religijnym i będziemy walczyć o to, aby był on wolny od tego brudu, bo jesteśmy stanem chrześcijańskim – jesteśmy stanem moralnym”. Po czym, jak przystało na republikanina, od moralności przeszedł wprost do pieniędzy: „Chcemy obniżyć podatki” – dodał. Serce się kraje.

3. Pastor Bobby Leonard z Baptistycznego Tabernakulum Biblijnego w Monroe w Ka-

rolinie Północnej ogłosił z ambony, że kobiety noszą szorty i za to należy im się gwałt. „Powiedziałem do żony, że w centrach handlowych jest więcej kobiet w szortach niż w spodniach i sukienkach razem wziętych”.



Rys. MIROSLAW HAJNOS

Następnie świątobliwy mąż siedział w samochodzie na parkingu i oglądał kobiety, licząc szorty. Wyszło mu, że ma rację. „I wiecie co? Powiedziałem: »Jeśli ubierasz się w ten sposób i zostaniesz zgwałcona, a ja będę w ławie przysięgłych, on wyjdzie wolny« – pouczył wiernych i dodał, że „mężczyzna to mężczyzna”. Po protestach ulicznych, jakie wywołało to kazanie, na tablicy przed kościołem, gdzie zwykle widnieją hasła z gatunku „Jezus cię kocha”, pojawiła się informacja: „Przepraszam, jeśli komuś sprawiłem ból. Nie miałem racji. Pastor Leonard”.

4. Emerytowany biskup Broome w Australii, 74-letni Christopher Saunders, został wreszcie oskarżony o swoje dawne swawole z czasów, kiedy „opiekował się” młodzieńcami z aborygeńskich plemion – co czynił przez większość swojej 50-letniej kariery duszpasterskiej. Zarzuca mu się molestowanie co najmniej 67 młodych mężczyzn, których miał oswajać za pieniądze diecezji, wydając setki tysięcy dolarów na prezenty, aby potem organizować orgie z ich udziałem w biskupiej rezydencji. Po wielomiesięcznym śledztwie biskupowi po-

stawiono dwa zarzuty penetracji seksualnej bez zgody, 14 zarzutów bezprawnej i nieprzystojnej napaści oraz trzy – nieprzystojnego obcowania z niepełnoletnim w wieku od 16 do 18 lat z osoby sprawującej władzę. Saunders uparcie nie przyznaje się do winy.

5. Konserwatywny członek Izby Gmin Lee Anderson ogłosił w radiu GB News, że burmistrz Londynu Sadiq Khan, który jest pierwszym w historii muzułmaninem sprawującym to stanowisko, „oddal naszą stolicę swoim kolegom”. „Nie wierzę, że islamscy przejęli kontrolę nad naszym krajem, ale wierzę, że przejęli kontrolę nad Khanem i Londynem” – ocenił torysowski poseł, który niedawno wslawił się opinią, iż politycy powinni wziąć za twarz policję, która niedostatecznie brutalnie rozprawia się z protestami z obronie Palestyny. „Lee chciał tylko powiedzieć, że burmistrzowi, jako przełożonemu policji w Londynie, nie udało się zapanować nad odrażającymi marszami islamistów, które ostatnio widzieliśmy w mieście” – tłumaczy Andersona jeden z kolegów. A premier Rishi Sunak dodaje, że Anderson nie jest rasistą, tylko po prostu jest w błędzie.

Mały ptaszek, duża klatka

Czy kulturystyka jest sportem? Trudno powiedzieć.

Kulturystyka dotarła do Polski we wczesnych latach 50. minionego wieku, ale tego nie mam prawa pamiętać, mogę o tym tylko przeczytać. Dobrze pamiętam natomiast lata 60. Chodziłem wówczas do liceum. Na ścianie nad łóżkiem każdego chłopaka wisiała słomiana mata. Przypinaliśmy do niej różne skarby: najczęściej fotografie aktorek, sportowców, zagraniczne pocztówki, nawet opakowania po amerykańskich papierosach. Ja gustowałem w fotkach niezwykle seksownej niemieckiej aktorki Elke Sommer, ale nad łóżkiem brata wisiały fotosy Steve’a Reevesa, najlepszego podówczas kulturysty na świecie. Arnold Schwarzenegger w austriackiej wiosce pod Grazem dopiero wykuwał swoją oszałamiającą sylwetkę, która zaprowadziła go aż na fotel gubernatora Kalifornii.

Arnold na naszą miarę

Brat, podobnie jak wielu chłopaków, sam konstruował sztangę z kija i worków piasku oraz jakieś inne przybory. Wszyscy pocili się w mieszkaniach i po piwnicach, byle tylko urosły im baniaki, skrzydła, kaptury. Ważny, ale i trudny do wytrenowania był kaloryfer, czyli widoczne sektory na mięśniach brzucha. Jako pomoc w tych zajęciach służyła książeczka amerykańskich braci Bena i Joe Weiderów, którzy w latach, gdy ludzie mordowali się na frontach II wojny światowej, wpadli na pomysł, że na rzeźbieniu ciała można dobrze zarobić. Wymyślili kulturystykę, nazwali ją dyscypliną sportu, i zaczęli organizować pierwsze konkursy pod egidą założonej przez siebie Międzynarodowej Federacji Kulturystyki i Fitnessu (IFBB).

Zawody kulturystyczne polegają mniej więcej na tym, że na scenie prezentują się panowie (od 1970 r. także panie) i przyjmując odpowiednie pozy, eksponują poszczególne grupy mięśni. Jeśli sędziowie mają jakieś wątpliwości, proszą dwie lub więcej osób, aby stanęły obok siebie i dokonują porównania.

W Polsce kulturysty nigdy nie mogli liczyć na wielkie profity, raczej byli wyśmiewani. Kto nie pamięta takiego określenia kulturysty: „Co to za zagadka: mały ptaszek duża klatka”? Nawiasem mówiąc,

to jedna z legend. Intensywne ćwiczenia nie mają żadnego wpływu na wielkość członka.

W każdym razie w naszym kraju z pakowania mięśni nie da się żyć od pierwszego do pierwszego, tym bardziej że różne opłaty są niemałe i trzeba stosować odpowiednią dietę.

Na świecie najlepsi kulturysty mogą liczyć na wysokie honoraria, może się także otworzyć przed nimi kariera aktorska, jak przed wspomnianymi Steve’em Reevesem i Arnoldem Schwarzeneggerem. Spośród polskich aktorów imponował umiejętnościom zmarły w 2005 r. Marek Perepeczko, ale na scenę i do filmu nie trafił dzięki zawodom kulturystycznym, lecz odwrotnie – w siłowni uzupełniał aktorskie emploi.

Natura vs ekstrema

Choć w towarzystwie do dobrego tonu zawsze należało wyśmiewanie kulturystów i wyrażanie obrzydzenia kulturystkami, zawody się odbywały

i odbywały. Można jednak zaryzykować stwierdzenie, że wyczynowe pakowanie mięśni umiera. Zabija je doping. Trudno osiągnąć wyczynowe rezultaty bez sięgania po niedozwolone, a jednocześnie szkodliwe dla zdrowia preparaty. Kobiety bez „koksowania” w ogóle nie zbudują męskiej muskulatury, bo ich organizmy praktycznie nie produkują niezbędnego do tego testosteronu.

Kulturystyka – użyjmy w końcu tego słowa – sportowa poszła dwoma drogami. Jest kulturystyka naturalna, w której jakiegokolwiek wspomaganie jest zabronione, oraz kulturystyka ekstremalna, gdzie nikt nie sprawdza, czego nalykali się uczestnicy zawodów przed występem. Pierwszej odmianie szkodzi to, że na scenie nie pojawiają się co prawda chucherka, ale uczestnikom daleko do muskulatury Schwarzeneggera. Od drugiej odmiany odpycha fakt, że mięśnie wyglądają tak monstrualnie, że aż sztucznie. Wiadomo też, że sylwetkę kształtowano nie tylko poprzez ćwiczenia, lecz także dzięki wizytom w aptece. Niechęć do dopingu w sporcie jest w społeczeństwie powszechna, dotyczy to także kulturystyki.

O ile kulturystyka zawodnicza stoi na ostrym zakręcie, o tyle dzięki niej rozwinął się wspaniały ruch fitness. Co prawda za oficjalnego wynalazcę tego ruchu uznaje się dr. Kennetha Coopera, który w latach 60. minionego wieku opracował program ćwiczeń dla amerykańskich kosmonautów, ale zapewniam, że w Polsce już w latach 70., choć nikt nie wybierał się na Księżyc, prekursorami ćwiczeń byli Paweł Filleborn, Henryk Szczepański czy Paweł Jasiński, pierwsi nasi kulturysty i propagatorzy ćwiczeń. Dzisiejsze kluby fitness, których powstają tysiące, jeśli nie miliony na świecie, wyposażeniem i rodzajami ćwiczeń niewiele różnią się od sal kulturystycznych. Z tym że kulturysty nigdy nie biegali na ruchomej bieżni, nie ćwiczyli na orbitreku ani nie jeździli na rowerku stacjonarnym, bo ich dewiza brzmi: jeśli nie musisz biegać, to idź; jeśli nie musisz iść, to leż; a jeśli już leżysz, najlepiej śnij. Ale to jedyna różnica.

Herkules naszej młodości

Chodzenie na siłownię stało się modne. Chodzą obie płcie, dziewczyny chyba nawet chętniej. Siłownie są czyste, eleganckie, dobrze wyposażone, a w wielu z nich na ścianach wypisano różne hasła zachęcające do wylewania potu dla własnego zdrowia nie tylko fizycznego, ale także psychicznego. Daleko już odeszliśmy od zakurzonych i śmierdzących szczyrzymi odchodami piwnic, w których ćwiczone za mego dzieciństwa.

Siłownie stały się poważnym biznesem, zatrudniającym tysiące ludzi i wpływającym na PKB poszczególnych krajów. Idzie za tym postęp technologiczny, bo aparatura do ćwiczeń jest wciąż unowocześniana. Pandemia COVID-19 o mało nie zabiła tej branży, bo kluby fitness i siłownie zamykano chyba nawet wcześniej niż lasy i cmentarze, ale dzięki ratunkowemu zastrzykom państwowej gotówki jakoś większość z nich przetrwała i działa teraz na pełnych obrotach.

Z siłownią spotkałem się dość wcześniej. W latach 80. minionego wieku często zaglądałem do klubu przy ul. Dąbrowski na warszawskiej Saskiej



Kępie. Herkules, bo o nim mowa, był na owe czasy fenomenem. To chyba była jedyna w pełni profesjonalna siłownia w Polsce. Tak naprawdę o statusie prawnym ówczesnego Herkulesa nic nie wiem do dzisiaj. Formalnie był ogniskiem Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej, ale nikt nie wiedział, co tam jest społeczne, a co prywatne. W bogato wyposażonym gabinecie, za gdańskim biurkiem, urzędował prezes Stefan Mizielewski i on zarządzał wszystkim z zapalem właściciela. Ważny szczegół: podczas gdy my jeździliśmy fiatami, wartburgami i polonezami, Stefan siadał za kierownicą wypaszonego mercedesa.

Radziecki koks, polska szynka

Co tu dużo mówić, imponował mi Stefan, wielki propagator kulturystyki i obrotny biznesmen, choć w czasach siemienię socjalizmu pojęcie biznesmena było w PRL mało popularne. Nie znałem historii Herkulesa, licznych zawirowań, wygrzanie z ogniska Andrzeja Jasińskiego, twórcy polskiej kulturystyki i bodaj pierwszego mistrza kraju. Nie wiedziałem, że piwniczne pomieszczenie własnymi siłami odremontowali zapaleńcy rzeźby i definicji mięśni. Bo i co mogło mnie to obchodzić?

Za namową Stefana Mizielewskiego, którego zdążyłem bardzo polubić, niemal codziennie przed udaniem się do redakcji zajeżdżałem moim fiakiem 126p na ul. Dąbrowski, przebieierałem w strój sportowy i zasuwałem na maszynach, ćwiczących poszczególne partie mięśni, zwanych wówczas atlasami. Dobrze robiło mi takie rozpoczynanie dnia pracy.

Na sali ćwiczeń panowała świetna atmosfera. Przychodziło tam wielu kulturystów uprawiających to zajęcie (wciąż waham się przed używaniem słowa „sport”) zawodniczo. Przemili ludzie, pomagali we wszystkim laikowi. W czasie chwilowych – jak nas zapewniano – niedoborów niektórych towarów na rynku był też Herkules miejscem, w którym załatwiano liczne interesy. Jeden miał dojechać do wędlin, inny do serów, a jeszcze inny do czegoś tam. To ułatwiało życie. Na moją korzyść przemawiał fakt, że nie musiałem przygotowywać się do zawodów. W tym okresie chłopaki ostro dostawały w kość. Dieta składała się niemal wyłącznie z pierś kurczaka, a woda była traktowana jak trucizna, pito ją rzadko i po kropelce. Wyćwiczone, odwodnione mięśnie, nasmarowane dodatkowo bejcą do drewna, były dzięki temu dobrze widoczne i można je było pokazywać na scenie.

W Herkulesie kwitł też handel odżywkami. Rzekomo niewinnymi i dozwolonymi proteinami, ale mam podejrzenie graniczące z pewnością, że głównym towarem były sterydy, masowo sprowadzane z ZSRR. Bez sterydów anabolicznych i innego koku mięśnie nie mają prawa rozrastać się do monstrualnych rozmiarów.

Później zmienił się ustrój. Zostałem redaktorem naczelnym, a następnie dyrektorem wydawnictwa. Już nie miałem czasu na jakieś wyciskania sztangi i ćwiczenia na atlasie. Kulturysty startujący w zawodach w barwach klubu z Saskiej Kępy błyskawicznie zmienili się natomiast w gangsterów.

Nie mogłem uwierzyć, że ci sympatyczni, naprawdę grzeczni i skromni, choć napakowani mięśniami chłopcy wymuszają haracze, napadają z bronią w rękę na ludzi i wykonują inne czynności przynależne gangsterskiej profesji. Powszechnie nazywano ich karkami ze względu na rozwinięte mięśnie grzbietu. Wyglądali naprawdę groźnie.

Klepek, Żaba, Cegła, piach

Później tylko raz zajrzałem do Herkulesa. W czasie, gdy u nas ustrój się zmienił, a w ZSRR jeszcze trwał stary, niemal wszystkie prostytutki pracujące w agencjach towarzyskich były Rosjankami. Pewnego dnia przypadkowo spotkałem Stefana i on powiedział mi, że w Herkulesie przyjmuje klientów znakomita rosyjska masażystka. Namówił mnie do zamówienia wizyty. Ciekawość wzięła górę.

Stefan zaprowadził mnie do małego, rozświetlonego tylko słabym czerwonym światłem pokoiku, na którego środku stał stół do masażu. Weszła przepiękna, tak jak przepiękne mogą być tylko Rosjanki, dziewczyna w obcisłym trykocie. Kazała mi się rozebrać. „Oho, dobrze się zaczyna” – pomyślałem, gdy zostałem w samych bokserkach. „Trusiki tożę” – usłyszałem z cudnych ust, a na ten rozkaz spuściłem majtki i zostałem w postaci, w jakiej stworzył mnie Pan Bóg. Było coraz ciekawiej. W napięciu czekałem, co stanie się dalej. A stało się to, że Rosjanka była nie tylko zjawiskowo piękna, ale miała też niesamowicie sprawne ręce. Wymasowała mi dosłownie każde włókno mięśniowe, pomijając tylko jedno miejsce, na co już – przynajmniej ze wstydem – zaczynałem liczyć. Nigdy wcześniej i nigdy później nie zostałem tak gruntownie wymasowany; z trudem zwlokłem się z łóżka, a w domu dostałem gorączki, zadziałały toksyny uwolnione zręcznymi paluszkami z mięśni.

Tymczasem nastał czas walk gangów. Co i raz czytałem w gazecie o śmierci któregoś z moich kolegów z siłowni. Byli to Klepek, Żaba, Cegła i jeszcze inni. Wszyscy wystrzelali się nawzajem. Nie miałem już znajomych kulturystów. Na wiele lat skończyła się moja przygoda ze sztangami, rękami i aparatami do usprawniania mięśni.

Na siłownię wróciłem – co za ironia losu – dopiero jako chrotry dziadek. Po zdiagnozowaniu u mnie polineuropatii nóg lekarz zalecił mi wizyty na siłowni. Od tego czasu codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, pojawiam się w Centrum Kompleksowej Rehabilitacji w Konstancinie. Wiele się na siłowni zmieniło. Atlas nie jest już nazywany atlasem, lecz bramą. Aparaty do ćwiczenia poszczególnych partii mięśni są skomputeryzowane, po zajęciach każdy może sprawdzić, jakie ciężary przerzucił. Co jakiś czas staje się na specjalnym urządzeniu, które skanuje organizm i drukuje wyniki wraz z zaleceniami, co należy czynić dalej. No po prostu – Ameryka.

Jedno tylko się nie zmieniło. Co prawda nie ma tu kulturystów, ale atmosfera na sali panuje tak samo fajna jak kiedyś w Herkulesie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT

Wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,

Edyta Baker, [Małgorzata Daniszewska], Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Agnieszka Wolk-Laniewska, Marek Sanowski.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 28.02.2024 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Najzabawniejszy przywódca w nowożytnej historii Europy Andrzej Duda patrzył z nadzieją na drzwi, którymi do gabinetu miał wejść wiceprezydent Marcin Mastalerek. Gdy kłamka się poruszyła, napięcie prezydenta Polski sięgnęło zenitu.

Mastalerek wszedł. Spojrzał Dudzie w oczy, które przypominały oczy spaniela błagającego o spacer. Duda nabral powietrza w płuca. Mastalerek pokręcił głową. Duda złapał się za głowę, a pełen pretensji wzrok zwrócił ku niebu.

– Nic? – jęknął.
– Zupełnie nic – odparł wiceprezydent. – Ani w Oenecie, ani w Emkolu, ani nawet w Eborze.

– Mówili coś? Tłumaczyli się?
– Powiedzieli, że dla kogoś, kto nie ma szacunku dla praworządności, nie mają żadnej oferty pracy. Doradzili, żeby szukać na wolnym rynku, w Majkrosfoście albo gdzieś.

– Ja pierdołę! – zaklął Duda. – Czyli co? Pozostaną mi wykłady w Rwan-dzie?

– W Zambii – poprawił go Mastale-rek. – Wygląda na to, że tak: wykłady w Zambii. Jeśli zadrżysz rektorzy nie znajdując lepszych wykładówców...

– Jak oni tak ze mną, to ja z nimi też tak – warknął prezydent i podniósł podbródek. – Niech się wał! Nie poja-dę do Stanów!

Prezydencka groźba wybrzmiała do końca, a potem zniknęła w złowróżbnej ciszy. Wolny świat zadrżał w posadach.

Mastalerek odkaslnął.

– Obawiam się – rzekł ostrożnie – że taki krok byłby źle zrozumiany. A Tusk tak by wszystko przekreślił, że znów jego byłoby na wierzchu.

– Na Tuska też się znajdzie sposób – wyszeptał Duda i obnażył zęby.

– Ciekawe jaki? – zapytał prowoka-cyjnie Mastalerek. – Bo jak taki jak na Bodnara i Sienkiewicza, to ja dziękuję.

Prezydent wstał, żeby rozprostować kości. Zrobił kilka skłonów, kilka skrę-tów tułowiem i kilka przysiadów. Po-czuł, jak mięśnie rozciągają się i stają się sprężyste jak u tygrysa.

– Kto jest zwierzchnikiem sił zbroj-nych? – spytał i od razu odpowiedział: – Ja. A kto powiedział, że nie można wykluczyć wysłania wojsk na wojnę w Ukrainie? Prezydent Macron. A co ja powiedziałem? Że nie rozważam wysła-nia naszych wojsk. A kto powiedział, że nie mogę zmienić zdania?

Mastalerek nie znał odpowiedzi na to pytanie.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA jest coraz bardziej zachwycona rolnikami. **JOANNA SENYSZYN** trudniej ulega rewolucyjnym nastrojom.

Wołk-Łaniewska: – No powiedz, czy to nie jest piękne?

Senyszyn: – Ale co?

– A czołg z obornika chociażby. Czy nie uważasz, że to wspinała demonstracja pacyfizmu?

– Owszem, symboliczna, ale nie tak, jak ci się wydaje, bo „Agro Abrams” był ze słomy, a nie z gówna.

– Nie bądź taka akurtna. I jeszcze mnie ujął transparent „Koniec gościny niewdzięcz-ne skurwysyny”. Jak lud się rozgniewa, to nie ma miękkiej gry... Natrafiłam na sondę na stronie Radia Zet: „Czy uważasz, że prorosyj-skie i antyukraińskie hasła na protestach rol-ników są inspirowane przez Rosję?”...

– I oczywiście zagłosowałaś, że nie.

– A już myślałam, że cię zaskoczę.

– Niby czym? Niezmiennością poglądów? To by było zaskakujące u polityka...

– Ciekawsze jest jednak to, że jak już zagło-sowałam, to mi się wyświetliły wyniki gło-sowania. I tego naprawdę nie zgadniesz.

– No dawaj.

– 58 procent na „tak”, 42 na „nie”. Mimo tej całej propa-gandy nieomal połowa Polaków ma własny rozum. Czyż to nie jest optymistyczne? I jeszcze Radio Zet mi od razu zapro-ponowało: „Zagłosuj ponow-nie”.

– Bo uznali, że źle nacisnę-łaś, jak te pozostałe 42 pro-cent. A skoro guziki ci się pomyliły, jak niektórym po-słom w sejmie, to musi być reasumpcja. Ale à propos Rosji: słyszałaś, że prezy-dent Duda chce ją zlikwi-dować?

– Całkiem?

– Doszczętnie. W wywiadzie dla francuskiej telewizji powiedział: „Najlepiej by było, gdyby Rosji nie było”. Przypomniał mi się niejaki Kononowicz, też prezydent, tyle że niedoszły.

– Białegostoku chyba?

– To na początek, ale potem się przymierzał do całej Rzeczypospolitej. Miał taką wizję poli-tyczną: „żeby nie było bandyctwa, żeby nie było

złodziejstwa, żeby nie było nicze-go”. Prezydentem Polski nie został, ale – jak widać – ma godnego następcę.

– No i jeszcze nieopi-sanie mnie uradował po-wrót Renaty Beger.

– Ale chyba już bez kurwików, bo lata robią swoje.

tej Renacie nagadał?!”. A on prze-rażony: „Ale ja powiedziałem: »ogniki«”.

– Może się wyparł ze strachu przed sejmową komisją śledczą. Wtedy się za-czyynały.

– Ale serio, kobita coś w sobie ma. We wtorek, jak ją Morozowski w TVN24 napadł, że rolnicy niby tacy biedni, a ciągniki mają za półtorej bańki, to mu powiedziała: „Proszę nie zazdrościć rolnikom tych ciągników, one są na kre-dyt, a poza tym są nam potrzebne do cięż-kiej pracy, tak zwanej orki. Gdybyśmy byli dziennikarzami, tobyśmy mieli komputery”.

Touché!
– No dobra, już się nią tak nie zachwycaj, bo będę zazdrosna. Zmieniając temat, ale nie do końca: rolnicy oprostowują Zie-lony Ład z takimi ognikami w oczach, że aż opony płoną w Brukseli, a Bruksela się upiera, choć jest prostszy sposób na ochronę Ziemi.

– Mianowicie?

– Naukowcy ustalili, że najbardziej nieeko-logiczne jest posiadanie dzieci. Rok życia dziec-ka powoduje emisję prawie 60 ton CO₂. A na przykład codzienna jazda samochodem tylko 3–4 tony rocznie.

– Pamiętam. To było badanie opublikowane w „Environmen-tal Research Letters” w 2017 r. Towarzyszyła temu cudna info-grafika, z której wynikało, że np. selekcionując śmieci, oszczę-dzamy światu emisji 0,21 tony CO₂ rocznie. Wymiana żarówek na energooszczędne – 0,1 tony. Przejście na weganizm – 0,82 tony. A jeden bachor mniej – 58,6 tony emi-sji mniej.

– Bardzo ciekawe, ale coś mi się tu nie zgadza i chciałabym poznać szczegóły. Ponoć na statystycznego Polaka przypada rocznie 11,15 ton emisji ekwiwalentu dwutlenku węgla, więc dlaczego na dziecko aż pięć razy więcej? Dzieci są pewnie bardziej szkodliwe, bo potrze-bują tysiące pampersów, ciągle większych ubra-nek i bucików, wciąż nowych zabawek, ale żeby aż taka różnica...

– I jeszcze pierdzą i bekają, bo są złe wy-chowane.

– To też. Ale do 60 ton chyba nadal nie do-bija.

– Powiem ci, Joanno, że ty ze swoim na-ukowym umysłem musisz popsuć każdą opowieść. Ale to akurat wiem, bo o te obli-czenia toczyła się wielka dyskusja napędza-na przez oburzonych pronatalistów: otóż w tych 60 tonach jest skumulowana emisja potencjalnych dzieci i wnuków tych dzieci, których autorzy raportu sugerują nie mieć.

– Mnie nie trzeba sugerować, bo byłam prekursorką niechęci do dzieci. W latach 70. ubiegłego wieku Gierek akurat lansował model rodziny 2+3, a ja – model bez dzieci i przekonałam męża, że on też ich nie chce.

– Trudno było?

– Niespecjalnie, bo za dziećmi nigdy nie przepadał. Do dziś uważamy, że była to jed-na z naszych najlepszych życiowych decy-zji. Przecież dziecko to ludzki odpowiednik gąsienicy, niestety bez gwarancji, że prze-istoczy się w pięknego motyla. Przypomnia-ła mi się anegdota z życia George’a Bernar-da Shawa. Pewna piękna dama roztaczała przed nim wizję cudownego wspólnego dziecka, które po niej odziedziczyłoby uro-dę, a po nim inteligencję. „Lepiej nie ryzy-kujmy” – zachnął się Shaw – „bo gdyby się stało odwrotnie...”

– U ciebie mogłoby być i odwrotnie.

– Ze skromności nie zaprzeczam.

senyszyn@wp.pl
wołklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 288



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI